MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 53. WARSZAWA, 21 GRUDNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

O ETYCE W POLITYCE

ZAGADNIENIE, czy prawa moralne winny znajdować zastosowanie w działalności politycznej państw, obozów politycznych i jednostek nie jest niczem nowem; ale samo życie sprawia, że problemat ten jest wiecznie aktualny i dyskusja na ten temat nigdy nie trąci myszką.

Bywają okresy historji, w których wartość zasad etycznych nie jest w polityce kwestjonowana, że wspomnę średniowiecze; bywają zaś wieki całe, jak okres oświeconego absolutyzmu, kiedy wśród polityków ustala się przekonanie, że polityka jest czemś nawskroś pozaetycznem. Wiek XIX w zakresie tego zagadnienia, jak w wielu innych, wykazał daleko posuniętą dwulicowość. Reakcja po rewolucji francuskiej stroiła się w piórka etyczne, zawierając „święte przymierze“. Z drugiej strony t. zw. „ruchy wolnościowe“, tajne organizacje, zmierzające do przewrotu, także nie głosiły zerwania z etyką w polityce, lecz raczej opierały swe hasła i czyny na podstawach głoszonej przez siebie etyki „człowieczeństwa“ i „prawdy“.

Ludzkość, w wierzeniach organizacyj masońskich, stała się bóstwem, wiedza zaś religją. Były to ideały dostatecznie silne na to, aby jednać sobie zwolenników, zbyt niemocne jednak, by zapobiec rozdziałowi między teorją a działaniem praktycznem jednostek, obozów politycznych i państw.

I oto w chwili wybuchu wojny światowej, wznieconej przez pozbawione skrupułów zrzeszenia interesów, stanęły przeciw sobie dwie koalicje, z których żadna nie była oparta na dostatecznie mocnym fundamencie etycznym. Wartość ideałów w polityce okazała się *ad oculos* każdemu w czasie zmagań wojennych; przetrwanie gehenny wojennej nie było tylko kwestją nerwów, jak mawiali chętnie ówcześni gracze polityczni, lecz właśnie kwestją gruntującego się w masach poczucia sprawiedliwości, słuszności swej sprawy.

Obok innych przyczyn, także wskutek rozbratu między etyką a polityką zakończyły Niemcy swą wojnę o panowanie nad światem rewolucją haniebną i traktatem Wersalskim. Czyż Niemcy w 1918 r. przypominały w czemkolwiek Niemcy z r. 1813, albo Francję po r. 1870?

Hasła Wilsonowskie, będące ukłonem w stronę zasad etycznych w polityce międzynarodowej, a nawet wewnętrznej („niema rządu bez zgody rządzonych“) doczekały się tylko częściowej realizacji w traktatach pokojowych, od początku będąc narzędziem gry politycznej, zresztą nie bez współudziału samego ich głosiciela. Oportunizm bez trudu torował sobie drogę powrotną; najjaskrawiej uwidoczniło się to w postawie Europy wobec *régime*'u bolszewickiego, który hasło „precz z etyką“, zastosował w całej rozciągłości w każdej dziedzinie życia. Wojna światowa, ów okres wstrząśnień i intensywnych przeżyć, pozostawiła po sobie zastępy ludzi, którzy zahartowali się w niej i nauczyli się, w pewnym stopniu przynajmniej, poszanowania dla ideałów. Ci ludzie stanowią po dziś dzień zbyt ważki czynnik w życiu publicznem, by można z powodzeniem wśród nich głosić zasady bolszewickiego rozbratu z etyką. Łatwiej strawne jest dla nich wyłączenie pewnych sfer życia z pod praw etycznych, a więc polityki dla jednych, dla

drugich rygoru życia seksualnego, dla trzecich walki o grosz, czy o byt materjalny.

Czyniąc z polityki coś w rodzaju wiedzy tajemnej, ogółowi obcej, łatwo można było wmawiać, że zasady etyki do niej się nie odnoszą. Na wschodzie ubrano ten pogląd w Tołstojowską szatę „niesprzeciwiania się złu", na zachodzie aryjskim przemyca się zasadę: cel uświęca środki. W pierwszym wypadku odpowiedzialność za czyny działających politycznie jednostek, czy grup, pozostawia się im samym, uwalniając od niej tych, którzy są tylko widzami, choćby byli nimi z własnej woli. Jest to uprawnienie milczenia, zamykania oczu, rozgrzeszenie bierności. Drugie hasło ogranicza zastosowanie etyki do samych najwyższych celów politycznych, z polityki czyni zaś grę mniej lub więcej szachrajską i cyniczną, dla której jedynem kryterjum oceny staje się powodzenie.

Zwykłą rzeczą staje się człowiek, uchodzący za etycznego w życiu prywatnem, czyniący zaś w polityce gałgaństwa bez ujmy dla swej opinji. Spryt oszukańczy cieszy się uwielbieniem ludzi uczciwych. Niedotrzymanie słowa nazywa się realizmem politycznym, barbarzyństwo metod — to tylko energja czynu i „silna ręka". Te wszystkie środki rozgrzesza cel, do którego się dąży. Wystarczy osobista wiara, że cel ten jest wielki i nie koliduje z etyką, by uczciwy sympatyk mógł cieszyć się spokojem sumienia.

Brak etyki w postępowaniu publicznem staje się synonimem siły. Łatwiej wtedy o doraźne sukcesy. A przecież nietrwałość tych sukcesów w polityce międzynarodowej oglądaliśmy niedawno bardzo blisko. Czyż cyniczna polityka Bismarcka i jego następców opłaciła się Niemcom? Czy polityka ta nie przyniosła im owoców gorzkich, bardzo gorzkich? Czy opłaciło się im podeptanie własnych zobowiązań, pogwałcenie neutralności Belgji?

Siła w polityce nie jest wynikiem cynizmu, ani braku skrupułów w doborze środków. Siłą narodu nie jest jego obojętność moralna, lecz właśnie raczej jego moralny kręgosłup. Prawdziwa racja stanu wymaga od szerokich mas niejednego wyrzeczenia się, niejednego poświęcenia nawet. Czyż do tego zdolne są narody bezetyczne, pozbawione ideałów? Czy Rosja bolszewicka zdolna jest do poświęceń w imię czegokolwiek?

Siłą zaś pojedyńczego polityka leży znowu w wartości jego charakteru. Nawet ci, którzy wielbią dziś brak charakteru w polityce, żądają od polityka „stalowych nerwów". A cóż to są te „nerwy stalowe", jak nie właśnie niezłomność charakteru, dla której opoką jest poczucie słuszności, sprawiedliwości swego działania?

Tylko człowiek, czujący odpowiedzialność etyczną za każdy swój postępek w życiu politycznem, może być do tego stopnia przesiąknięty poczuciem słuszności swej sprawy, że nie załamie się wtedy, gdy będzie musiał na swe barki wziąć odpowiedzialność za losy narodu i państwa. Tylko taki polityk jest ostoją narodu, filarem niezachwianym: *„Sitotus illabatur orbis, impavidum ferient ruinae"*.

Czyn Rejtana był więcej wart politycznie, niż najsprytniejsza polityka, stał się zarodkiem kapitału moralnego, dzięki któremu mogliśmy przetrwać lata niewoli, jako naród zdolny do odzyskania niepodległości. Walkę z przewrotnością krzyżacką toczyliśmy godziwemi środkami i rozstrzygnęliśmy ją zwycięsko, zdobywając dla Polski parę wieków mocarstwowej siły. Pierwszy zaś „sprytny" krok, jakim była zgoda na sekularyzację Prus książęcych z zastrzeżeniem praw hołdowniczych króla polskiego, ów krok, jakby dziś powiedziano, polityki trzeźwej, nie liczącej się z wierzeniami i etyką narodu, lecz tylko z doraźnym, rzekomym interesem państwa i dynastji, krok ten był... pierwszym krokiem do rozbiorów Polski.

Nad tem warto pomyśleć, póki jeszcze nie wszyscy uznali, że „nie warto sprzeciwiać się złu" i że „cel uświęca środki".

TADEUSZ GLUZIŃSKI

W pełnym goryczy nastroju przeżywa Polska święta obecne, w poczuciu ujawnionej podłości, bezczelnej, urągającej naszej tysiącletniej historji, naszemu najgłębszemu zmysłowi moralnemu, naszemu honorowi. Wobec najbardziej przekonywających faktów i dowodów, ludzie nawzajem zapytują się z przerażeniem: Czyżby to było możliwe?... W duszy każdego uczciwego Polaka złowrogo ściele się ogromny cień wstydu i przygnębienia.

WIARĄ tylko przemagamy uczucie bólu i zgrozy, wypatrując w Noc Wigilijną wskazującego drogę, jasnego blasku Gwiazdy Betleemskiej. „Bóg się rodzi, moc truchleje"... Skoro budzi się już w sumieniach reakcja na zło, musi nadejść chwila jego przezwyciężenia.

Z wiarą tą, z pewnością bezwzględną, jakiej ona udziela, łamiemy się w tym roku opłatkiem wigilijnym W MILCZENIU. Nie trzeba słów. Wiemy, czego życzyć sobie wzajemnie, CZEGO ŻYCZYMY POLSCE, w imię jakich dóbr świętych, nieśmiertelnych w dalszym ciągu musimy walczyć i pracować.

DWOISTOŚĆ NIEMIEC

PRZY dyskusji idealnej trzeba tem więcej... wiadomości realnych. Czyż może być „idealniejsza“ dyskusja, jak rozważanie możliwości dobrej zgody Polski z Niemcami? Bo czy istnieje na świecie temat bardziej marzycielski? Użyłem tego wyrazu w obojem znaczeniu jego: albowiem marzycielem być trzeba, żeby myśleć o czemś tak dalece niemożliwem, ale też pomyśleć tylko, co to za cudowne perspektywy, gdyby to było możliwe! Nastałyby w Europie stosunki doprawdy wymarzone i wtedy dopiero niejedno marzenie dałoby się spełnić!

Idealizmu warunek spełniony doprawdy z „czubkiem“, ze znacznym nadmiarem. A warunki realne myślenia, niezbędne, żeby myślenie zdało się na cokolwiek? Oni gotują się z całych sił do najazdu na Polskę, a my mamy się może całować z nimi?

Tak często jednak słyszy się, że są w Niemczech i tacy, którzy również marzą o zgodzie z nami, bo myślą również o tem, jakby chrześcijańskiego ducha wprowadzić do polityki. A liczba ich nie mała, o czem wiem z własnego doświadczenia. Gdyby byli zorganizowani, możeby zdołali zaważyć na politycznej szali, ale widocznie brak im osi krystalizacyjnej. Ci niemieccy marzyciele są, jak dotychczas, zupełnie bezsilni. W danym razie skończą na tem, że pójdą wraz z tamtymi, z bagnetem w ręku, przeciw nam.

Mówi się o spodziewanym najeździe niemieckim już od pięciu lat, a pacyfiści stron obu nie wymyślili nic więcej, jak tylko, żeby... o tem nie mówić. Zapewne, zjazd każdy uda się świetnie, jeśli się nie porusza spraw „drażliwych“! Prosty rozsądek powiada jednakże, że kto chce osiągnąć cel, musi wpierw załatwić się z przeszkodami.

Traktat Wersalski grzeszył płytkością, a tę znać było od początku. Niech mi wolno będzie zacytować samego siebie. W październiku 1920 roku oddawałem do druku swoje „Polskie Logos i Ethos“, gdzie na początku zaraz pierwszego tomu stwierdzam, jako „zwycięscy, jakby nagłym tknięci paraliżem, stanęli bezradni, nie wiedząc, co począć z własnem zwycięstwem. Trudno powiedzieć, kiedy większą i cięższą była powaga chwili: czy gdy wypowiadano sobie wojnę, czy też obecnie, kiedy od roku już przeszło układa się pokój; to pewna, że dziś stosunki są o wiele zawilsze... Panuje w całej Europie przygnębienie. A tymczasem z pod gruzów i zgliszcz słychać raz wraz jakieś ruchy, których nie umie się określić, czy to odruchy są ostatnich konwulsyj gruboskórych potworów, zmiażdżonych dopiero-co, c z y t e ż z a p o w i e d z i o d r o d z e n i a i c h?... niema się jeszcze pewności, czy owe przęsła pancerne dynastyczności i militaryzmu należą do przeszłości bezpowrotnej, czy one istotnie stały się przeżytkami?... Zamiast trjumfalnej radości panuje przygnębienie; gryzie dusze robak zwątpienia“.

Dziś, po latach dziesięciu, zwątpienie graniczy już z rozpaczą, i to nietylko w Polsce.

Jakaż siła ma ten błąd naprawić? Nie jestem politykiem, tylko historykiem, obserwującym także współczesność pod kątem historycznym. Mogę tylko politykom być przydatny, jeżeli zwrócę ich uwagę, gdzie w tej sprawie mieści się historyczny punkt zaczepienia.

Niemcy były i są rozdwojone rozdziałem najgłębszym z najgłębszych: odmiennością cywilizacyj. Jest dwoje Niemiec. Jedne należą do cywilizacji łacińskiej, drugie do bizantyńskiej. Od połowy XIX wieku próbuje się wprawdzie między niemi syntezy, lecz doszło się tylko do mechanicznej mieszaniny, która atoli stała się panującą, bo stoi pod osłoną armji, a ta dawno już przestała być niemiecką, stawszy się ściśle pruską.

Pomimo nacisku, a czasem nawet ucisku, antagonizm przeciw Prusom jest w Niemczech wciąż żywy. Nie było to prostym „separatyzmem“, gdy pewna grupa ludności w Nadrenji pragnęła oderwać się od Prus — w czem E n t e n t a n i e c h c i a ł a i m d o p o m ó c — nieprawdopodobne a jednak prawdziwe! Świeżo mamy w pamięci zamieszki i prześladowania „separatystów“ po wycofaniu wojska francuskiego.

Otóż ta grupa ludności nadreńskiej zdaje sobie, być może, sprawę z tego, że tu chodzi o walkę cywilizacyj. Wielu z pośród nich twierdzi, że Prusy sfałszowały i poniżyły ducha niemieckiego, którego oni chcą na nowo podnieść i przywrócić właściwą cywilizację. Od pewnego czasu pojawia się nawet słowo: bizantynizm.

Z drugiej strony nie brak symptomów, zdających się wskazywać, jako cywilizacja łacińska słabieje w Niemczech coraz bardziej.

Ogromna ekspansja bizantynizmu sięgała niegdyś aż po półwysep pirenejski. Porywała wyższe warstwy społeczeństw uczonością, wspaniałością sztuk, zwłaszcza stosowanych, bogactwem, umiejącem łączyć się z pięknem, tudzież uproszczeniem życia publicznego. Formy zwłaszcza państwowe szły na zachód z Bizancjum. Władcy zachodni marzyli o tem, by otrzymać stamtąd tytuł patrycjusza, a kopje włóczni św. Maurycego stanowiły najstarsze berła. Ale to były tylko formy i treść nie czepiała się zachodnich głów, z jednym tylko wyjątkiem: znacznej części Niemiec. Odpłynęła fala bizantynizmu z całego zachodu, tylko pomiędzy Niemcami pozostało zaklęśnięcie, w którem fala ta nietylko została, ale wzbierała nieraz, by zatopić całe Niemcy. Obecnie właśnie fala znów rośnie gwałtownie.

Przywykliśmy widzieć bizantynizm w Rosji, gdy tymczasem w dawnej Moskwie panowała cywilizacja turańska, a więc zgoła inna i bizantynizmu bywało tam tak mało, iż historycznie było to bez znaczenia. Natomiast nie wie się o bizantynizmie niemieckim, który zaciążył, ciąży wciąż i ma dać się na nowo we znaki i zaciążyć rozstrzygająco nad łacińską Europą.

Istnienie niemieckiego bizantynizmu jest tak oczywistem, iż wystarczy przypomnieć cechy bizantynizmu, a każdy przyzna, że zachodzą one w znacznej części Niemiec.

W Bizancjum Kościół podporządkowany był władzy państwowej, a w dalszej (nieuchronnej) konsekwencji pierwiastek materjalny górował nad moralnym. W tem geneza wyższości formy nad treść: umysł bizantyński ma na wszystko gotową zawsze i niezmienną formę, podczas gdy intelekt łaciński szuka poprzez ciąg wieków coraz to nowych form. Bizantynizm zatracił wreszcie zdolność zrozumienia prądów, zmierzających ku zróżniczkowaniu. Uniwersalizm bizantyński polega na ujednostajnieniu, żeby pewien typ zapanował bezwzględnie w danej dziedzinie życia. Różniczkowanie uchodzi w bizantynizmie nietylko za przestępstwo

przeciwko państwu, lecz zarazem za kierunek antykulturalny. Nie rozumieją jedności bez jednostajności, a jednostajność nie da się utrzymać bez przymusu. Tam też kolebka doktryny o wszechmocy państwa, która jest niezbędną dla dopilnowania jednostajności. Organizacja społeczna cierpiała na niedorozwój, państwowa zaś niedomagała na przerost. Nie przyjęła też cywilizacja bizantyńska pojęcia narodowości.

Ta cywilizacja wydała kilka kultur w Europie i Azji, w rozmaitych okresach historji. Jest do dnia dzisiejszego nietylko żywą, ale dziś właśnie nader aktywną, pełną propagandy i ekspansji.

Niemiecki bizantynizm poczyna być władczym w Niemczech już od Ottona I. Od schyłku X wieku aż do dni naszych widoczny jest w Niemczech dualizm cywilizacyjny.

Tem wyjaśnia się niemoc świętego cesarstwa rzymskiego narodu niemieckiego, tudzież okresy bierności kulturalnej. Społeczeństwo cywilizowane na dwa sposoby, a więc nieustanna walka dwóch cywilizacyj, póki ta czy owa nie będzie górą tak dalece, iżby jedna z nich musiała podlegać biernie zwycięskiej. W zasadzie bowiem nie można być cywilizowanym na dwa sposoby, więc niezbędne jest pognębienie jednej z dwóch, ażeby nie zaginęła kultura czynu. Niemcy, zmierzające równocześnie w dwóch kierunkach rozbieżnych, zazwyczaj nie bardzo ruszały z miejsca, a nieraz wywracał się ten wóz niemiecki; ruszało się tylko wtedy, kiedy ster opanowany był wyłącznie przez ludzi jednej cywilizacji.

Stosunek cesarstwa niemieckiego do Kościoła bywał z reguły bizantyński; mianowali i strącali cesarze papieży na włoskich wyprawach. Gdyby niemieccy „kajdzarowie“ (wyraz bizantyński) opanowali byli Europę, utraciłaby była Europa powagę siły duchowej, niezawisłej od materjalnej, od władzy państwowej. Groziła światu europejskiemu utrata skarbu nad skarbami, stanowiącego duszę cywilizacji łacińskiej: uznawania wyższości ducha nad siłą fizyczną. Zasługa ocalenia cywilizacji łacińskiej przypadła Francji, mianowicie mnichom kluniackim. Dzieje Europy dzielą się na okresy: do reform kluniackich i od nich. Na tem tle rozważać należy całą „walkę cesarstwa z papiestwem“; jest to walka dwóch cywilizacyj.

A czyż potem protestantyzm niemiecki nie wytwarzał *Landeskirchen*, których głową był i jest *Landesfuerst?* W wojnie 30-letniej zwyciężyła w końcu bizantyńska zasada: *cuius regio, illius religio*, a zasada ta uznana była także przez stany katolickie. *Horrendum!* Odtąd też katolicyzm niemiecki, zarażony bizantynizmem, utracił na długo samodzielność moralną. Prostą konsekwencją tego stanu rzeczy był józefinizm: nawet katolicyzm zamieniano na religję państwową.

Uznanie wyższości państwa nad Kościołem musiało wieść w umysłowości niemieckiej do wyższości formy nad treść. Niepróżno tyle formalizmów w filozofji transcedentalnej niemieckiej, a uniwersalna formuła trichotomji święta dotychczas dla Niemców (nawet antropozofja Steinera trzyma się jej!).

W tych Niemczech, które wszystkie niemal swe wartości zawdzięczają decentralizacji, zrywa się prąd centralizacyjny, zmierzający do jedności przez ujednostajnienie. Uniwersalizm niemiecki pojęty został jako bezwzględne zapanowanie pruskiego typu na jak największym obszarze Niemiec, i to we wszystkich dziedzinach publicznego życia. Celem patrjotyzmu niemieckiego stawało się, żeby zrobić z Niemiec rozszerzone Prusy. Zupełnie jak w dziejach Bizancjum, różniczkowanie poczęło uchodzić nietylko za przestępstwo przeciw Rzeszy, lecz zarazem za kierunek antykulturalny, za obniżenie cywilizacji w Niemczech. Całą historję niemiecką owinięto około pruskiej i stąd uwielbienie dla Krzyżaków, jako przodków prusactwa.

W państwie pruskiem nie kwitnęła nigdy wolność obywatelska, a urządzenia społeczne musiały otrzymywać upoważnienie od państwa. Jak w Bizancjum, było się w państwie pruskiem obywatelem o tyle, o ile władza państwowa pozwoliła (i dąży się obecnie do przywrócenia tego). Nigdy żaden pruski statysta nie traktował poważnie konstytucjonalizmu.

W Prusiech, zupełnie jak w Bizancjum, nastał niedorozwój społeczeństwa, a przerost organizacji państwowej. Chorobę tę przyjęto z zapałem, uważając ją właśnie za warunek najlepszego zdrowia— a na tym punkcie rozchodzą się djametralnie cywilizacja łacińska i bizantyńska.

Obce bizantynizmowi poczucie narodowe zakwitło w Niemczech dziwnie późno, niemal najpóźniej z całej Europy, bo dopiero z początkiem XIX wieku. Patrjotyzm stanowi wcale świeży jeszcze dorobek umysłowości niemieckiej. Bo bizantynizm zna państwo, lecz nie zna Ojczyzny, a niejeden Prusak ani dziś jeszcze nie da Niemcom pierwszeństwa przed Prusami. Warto poszperać, co pisali o pojęciach ojczyzny i narodowości Lessing, Herder, Goethe, nawet Schiller [1]); potem zaczął patrjotyzm niemiecki polegać na ubóstwieniu państwa, oczywiście tego, które stało się najsilniejsze, więc pruskiego i dalej pruskiej metody myślenia i działania.

Wyraził się Blasco Ibanez satyrycznie, jako ludzkości szczęście polega na tem, by wszyscy ludzie żyli na sposób pruski. Ależ dosłownie to samo, ale nie satyrycznie, lecz jak najpoważniej, twierdzą liczne tuziny, setki całe, niemieckich autorów, beletrystów i uczonych.

Stwierdzam z całą stanowczością, że nie brak nam w Niemczech przyjaciół. Oczywiście, boć cywilizacji łacińskiej prąd nie jest jeszcze całkiem zgnębiony. Dwoistość Niemiec dostarcza nam sukursu, który może okazać się rozstrzygający, jeżeli powiemy głośno i jasno, że jesteśmy wyrazicielami i obrońcami ideałów cywilizacji łacińskiej— i jeżeli będziemy umieć wysnuwać z tego wnioski także w naszej polityce zagranicznej i w naszych stosunkach z Niemcami.

W dwoistości Niemiec ocalenie zwolenników prawdziwego pokoju, tam jedyne pole możliwego działania.

Pozwalam sobie znów na cytat samego siebie. W październiku 1920 kończyłem swe „Logos i Ethos“, uwagą jako „celem Polski winno być dążenie do tego, by w Europie środkowej zapanowała wyłącznie cywilizacja łacińska“.... A „historja robi się zawsze, całemi pokoleniami, z dnia na dzień, bez jednego dnia przerwy; kiedy się jest przygotowanym do czynu, wtedy samemu wywołuje się „sposobność“, o co nigdy nie trudno, bo chcący a mogący, zawsze ją znajdzie“.

FELIKS KONECZNY

---

[1]) Obszerniej „Bizantynizm niemiecki“. „Przegląd Powszechny“, październik 1927 r.

HUTERSKI

NOWELA

NASZA pamięć nie dosięga tych czasów, gdy Huterski był młody. A przecież kiedyś musiał być młody i miał podobno wówczas obie ręce. Tak twierdzi.

W owej epoce zapewne widywał naszą babcię, biegającą w krótkiej sukience po łąkach, na których pasał bydło. Już wtedy bowiem był pastuchem i mogę przysiądz, że nawet w tak zamierzchłej przeszłości pozwalał swoim ukochanym krowom skubnąć „pokryjomu“ trochę bujniejszej trawy w „szkodzie“, za co wtedy — i później i zawsze — miewał przeprawę z panem dziedzicem w kancelarji.

Dziedzice się zmieniali, ale Huterski trwał niezmiennie. I zawsze był pastuchem, z wyjatkiem bardzo krótkiego okresu, tego właśnie, który się skończył utratą ręki. Ale ów smutny wypadek zdarzył się również w epoce niemal przedhistorycznej — kilkadziesiąt lat temu.

Pozatem — pasał bydło od niepamiętnych lat, za czasów pradziadowskiej, dziadowskiej i naszej młodości. Był do tego stopnia zawsze i tylko pastuchem, że ten zawód w naszem dziecinnem pojęciu skojarzył się poprostu z jego nazwiskiem. Były to synonimy. Dlatego też któryś z chłopców, podczas mozolnej nauki czytania zapowiedział stanowczo:

— Jak dorosnę, to zostanę Huterskim i wcale nie będę czytał książek.

Bo Huterski nie umiał ani czytać, ani pisać. Może dlatego w pamięci, nieobciążonej balastem „średniego wykształcenia“, przechował imiona i fakty, zagubione nietylko w historji świata, ale nawet w daleko mniej zawiłej historji białego dworu, a przedewszystkiem niskiej, dziś już mocno w ziemię zapadłej — obory.

Jak prastarych krowich pokoleń sięgają te wspomnienia, mogą dowieść następujące djalogi. Podaję suchą treść słów. Jako dekorację, należy sobie wyobrazić pokaźny majdan, wypełniony nawozem. Drzwi od obory naoścież otwarte, — naprzestrzał widać okienko całe purpurowe lub złote, zależnie od barw, w jakie przybrał się zachód słońca. Z mrocznej głębi dobiega postękiwanie najedzonych dosyta, a teraz właśnie dojonych producentek nabiału. We drzwiach, na brzeżku żłobu siedzi Huterski. Przed nim stoi — bo usiąść tu niebardzo bezpiecznie — którakolwiek z drugorzędnych figur djalogu.

Huterski, oparłszy się na widłach, zabiera głos:

— ...Ona też była taka: odbije się od stada i wołaj na nią, krzycz, — za nic nie wróci! Kijem jej nie napędzisz i dobrem słowem rady nie dasz. Już takie u niej postanowienie mocne. A niech dopadnie lasu... po-o-szła! Już się jej do rania nie dowołasz.

— Któraż to taka nieposłuchana?

— Okaryna.

— Córka Harbielki?

— Gdzie znów ona córka Harbielki! Harbielka dla niej wnuczką wypada, ale to nie ta Harbielka, ta dziesiejsza. Okaryna była po Fatmie, a Fatma po tej łysej krowie, co ją świętej pamięci Nieboszczyk od Łabieńca kupił.

— Nieboszczyk? Który?

— A toż wasz dziadek, panieneczko! Oni ją jakoś przezwali we dworze po swojemu, że człowiek nie wymówi, a po mojemu nazywała się Olga.

— To chyba musiało być strasznie dawno?

— Pewnie, że dawno! Jeszcze wtedy panienki wujków na beczce po podwórzu fornale wozili, jak w południe zeszli z pola.

— I Huterski tamtą krowę dobrze pamięta?

— Jakże nie mam pamiętać! Była ona, oj była! Teraz jedna Farsa taka sama, ale gdzie Farsie do tamtej! Okaryna za każdy raz pełniutkie wiadro mleka dała, bywało garncy ze dwa, albo i więcej. A Farsa — pies na mleko. I w miejscu nie ustoi. Próbowali my ogon podwiązywać, to ona tylko nogą w wiadro da — i tyle jej podoisz.

— Więc Huterski wszystkie krowy pamięta? Wszystkie, jakie były we dworze od najdawniejszych lat?

Stary mocniej nacisnął widły, pochylił się ku przodowi i odparł po namyśle:

— Wszystkie — nie wszystkie. Jedna taka była, czarnieńka z białym brzuchem. Łatkę też miała na grzbiecie jedną, białą. Cielęta po niej piekne były, wszystkie pięć. Tylko dwóch byczków, wiadomo, sprzedał pan żydom. To nieraz myślę i przypomnieć nie mogę. Ot, całkiem z głowy wyleciało, jakie ona miała nazwanie.

— Dawno to było?

— O, dawno, panienko, musi że dawno. Jeszcze wtedy stary młyn stał przy grobli.

— To było w takim razie... przed powstaniem?

— Pewnie i dawniej. Jak panicza pognali w Sybir, właśnie ta czarnieńka chodziła z piątem cielem. I w ta pora spalił się młyn.

I znów należy pamiętać, że „panicze“, — to trzecie pokolenie wstecz, a „pan“, co sprzedał byczki po czarnej krowie z łatką, — chyba sam pradziad. Dla Huterskiego wszyscy oni „panicze“, lub „nieboszczyki“. Pewnie. Poumierali dawno, a przecież kiedyś byli też młodzi, mieli trzydzieści, dwadzieścia lat — i mniej — zupełnie tak samo, jak on. Tylko on został i pamięta.

Huterski mówi do nas po polsku i starannie dobiera wyrażenia. Ale do krnąbrnych wychowanic swoich odzywa się w rodzimej gwarze, karcąc je nieraz ostro:

— Kab ty zawalilasia! Kak nohi’ połamała! Kudy stupajesz, ty kaduszka? Kab ciabie wołki sożrali, żydouskie miaso!

Drepce i krzyczy, wymachując pustym rękawem. Bywa nieubłagany i srogi, a jednak wszystkie krowy lubią go i nad podziw słuchają.

— Chce panienka przekonać się, — powiedział kiedyś Huterski — każda do mnie przyjdzie na głos...

Było to wiosną i krowy pasły się na skraju lasu. Miały jeszcze nieco zapadłe boki (z zimy) i nieco chwiejny chód. Upojone rzeźwem powietrzem i słońcem, raz po raz podnosiły ciężkie łby,

rozglądając się wokoło wzrokiem łagodnie zdziwionym.

— Jaryna! — krzyknął nagle pastuch.

Wielka, biała, czerwono nakrapiana „żuławka“ stanęła nieruchomo, nasłuchując.

— Jaryna!

— Mmmuuu!

— Chodzi no tu! Chodzi ka mnie, Jarynka!

Ruszyła naprzód powoli i z godnością. Następnie podeszły inne krowy: Antosia i Wiśniocha, Kanarka i Fatma, Harbielka z wykrzywionym rogiem i Kalina, ta, która podczas dojenia najbardziej „bije się“... Każda kładła Huterskiemu leb na zdrowem ramieniu, zamaszyście oblizując mu twarz szorstkim językiem. Dla każdej znalazł ciepłe słówko lub żartobliwą połajankę. Wypominał jakieś przewinienia, namawiał do poprawy, zachęcał posłuszne i stateczne, wstydził krnąbrne i niecierpliwe.

Gdy tę zażyłość podziwiano, zwykł był powtarzać z głębokiem przeświadczeniem:

— Dziw byłby, żeby oni mnie słuchać nie mieli. Toż tak, jak Pan Bóg jest nad ludźmi, tak ja jestem nad krowami.

I rządził w swojem krowiem państwie, królował długie lata.

— — — — — — — — — — — —

Z biegiem czasu utrwalało się w okolicy przekonanie, że Huteski nigdy nie umrze. Umierali starzy, umierali młodsi od niego. Jedni na choroby przeróżne, inni poprostu — na śmierć. Huterski nigdy nie chorował, a jejmość Kostucha widocznie o nim zapomniała. Cóż w tem tak bardzo dziwnego? Żył cicho, na uboczu, oddawna usunięty z kręgu codziennych spraw. Wszyscy mieli jakieś kłopoty, jakieś troski powszednie. Żenili się, wychowywali dzieci, później te dzieci dorastały i z kolei zakładały własne ogniska, miały znowu własne kłopoty i własne troski. Dzieci dworskiego pastucha dawno rozbiegły się po świecie, a trzecia jego żona miała tylko jednego chłopaka, własny, „panieński“ przychówek. Gdy ją przywiózł z odległej wioski i osadził w swojem mieszkaniu, które zajmował conajmniej od półwiecza, — była to jeszcze młoda kobieta, wysoka, rozłożysta w biodrach, brzydka, w miarę pyskata i w pracy niestrudzona. Mimo defektu, jakim był niewątpliwie kilkoletni, krzykliwy dzieciak, mogła liczyć na stosowniejszą partję i dziwiono się, że wyszła za takiego starego dziada. Mógł śmiało być jej ojcem. Ale minęły lata, kilkanaście lat, Huterska stała się sama starą kobietą i ludzie przestali wydziwiać.

Dawno też stracili rachubę lat, które pastuch przeżył na świecie. Ktoś jeszcze, kiedy niekiedy, probował wyliczyć, że powinno być tyle a tyle:

— Bo nieboszczka babka Klementyna miała, umierając, siedemdziesiąt pięć lat. A Huterski był od niej o niecałe trzy lata starszy. A babka Klementyna umarła siedmnaście lat temu...

— Dziewiętnaście, — poprawił ktoś z obecnych.

— Dziewiętnaście? Czy to możliwe? Zaraz: Wuj Juljusz wrócił z zagranicy tuż przed wojną japońską, a Babka Klementyna już wtedy...

Zawiła ta matematyka kończyła się, oczywiście, zgodnie wypowiedzianą uwagą:

— Jak ten czas leci!

— — — — — — — — — — — — —

Mówiąc: Huterski nigdy nie chorował, popełniamy nieścisłość. Chorował, owszem, i to rok rocznie, w terminach ściśle określonych, że możnaby je bez omyłki zaznaczyć w kalendarzu. Tylko, że nie była to jakaś powszechnie znana, w podręcznikach medycznych łacińską nazwą opatrzona choroba. Związek między niedomaganiem pastucha i jakiemś administracyjnem zarządzeniem uwidoczniał się nader jaskrawo nawet dla kogoś, nieobeznanego z tajnemi arkanami gospodarki rolnej:

Nagle oto pewnego ranka Huterski wlecze się za bydłem skrzywiony, połamany, do siebie niepodobny. Pusty rękaw zwisa bardziej, niż kiedykolwiek, żałośnie, stare nogi ledwie dźwigają ciężar wyschłego ciała, stare oczy wydają się jeszcze bardziej wyblakłe. Aż przykro patrzeć na tę ruinę człowieka. Wczoraj jeszcze, podśpiewując w oborze, przytupywał do taktu i widłami dziarsko podbierał gnój, a dziś...

— Cóż to Huterski marnie jakoś wygląda? Chory może? — zapytuje przy spotkaniu litościwa dusza z dworskiej czeredy.

— A chory, panienko, chory.

— Boli co?

— A boli, panieneczko, bardzo boli. I tutaj w dołku boli, o, i w krzyżach boli... Siły też niemam żadnej, ot co! A jak zakaszlam, to mi w piersiach gra, niczem organy. Ot, bieda przyszła na mnie, wielka bieda!

I zaraz, bez żadnego przejścia:

— A wszystkiemu on winien, dziedzic.

— Dziedzic? Co też Huterski mówi?

— Prawdę mówię, panienko, winien...

Huterski się prostuje, zdrową rękę w kierunku zabudowań wyciąga groźnie i mówi powolutku, z goryczą:

— Litości on nademną nie ma żadnej. Powiedział: na łące paść niewolno. Wegnałem wczoraj w las, żeby choć tych listeczków trochę skubnęły... To mię skrzyczał, jak jeszcze skrzyczał! A co ja tej żywinie dam? Na przygórku trawę wypaliło, dołem owce przepędzili, krowa tylko powącha i nie ruszy. Zaprowadzili oni porządki, te panowie, zaprowadzili! Łąki ani kawałeczka, do zagajów ani się poważ zajrzeć, a bydło niech sobie głodne z pola wraca, jak przyszło! Już on chyba mojej śmierci pragnie, ten dziedzic...

— Są przecie pastwiska...

Stary tylko pogardliwie ramieniem wzruszył:

— Takie one i pastwiska! Prosto śmiech. Dawniej człowiek bydło popędził, gdzie pasza lepsza. I łąkami i lasem, jak wypadło. To i krowy inny wygląd miały. A dziś? Kazali tym gajowym lasu pilnować... To i pilnują! Wiadomo, taki cham prosty... Niech jedna krówka trochę tej trawy skubnie, choćby z samego kraja, zaraz krzyk, zaraz łajanie, zaraz do kancelarji wołają i pan grozi, że z ordynarji za szkodę potrąci. Dlatego ja i chory, panienko. Dlatego mnie już na świecie nie żyć, bo po co? Patrzeć, jak się ta żywina marnuje, jak gnaty z pod skóry wyłażą? A niech wyłażą! Niech ta cała obora wyzdycha... Przyjdzie taki dzień, że i pahladzieć nie budzie na co... A niechaj prapadaje! Ja już w ta pora dawno żyć nie stanu, tak i nie mojá biedá...

Gdy Huterski „po prostemu“ gadać zaczyna, to znak, że do żywego poruszony. Aliści sprawa z tem wpędzaniem bydła w szkodę zawsze wyglą-

dała jednako i kończyła się w kancelarji. Tylko pastuch tak, dla kontrastu, dawne, dobre czasy wychwala, żeby w narzekaniu rozpędu nabrać. I o tem także wszyscy oddawna wiedzą, a nie chcą przeczyć tylko dlatego, żeby staremu goryczy więcej nie zalewać za skórę.

— — — — — — — — — — — —

Rzadziej, niż choroba, ale również w terminach kalendarzem objętych, przytrafiało się Huterskiemu, że bywał... pijany. Mianowicie w okresie chrzcin, które jakoś najgęściej wypadają w porze jesiennej, kiedy to bydło jeszcze po polu chodzi, ale rankami chłody zaczynają doskwierać, a o zachodzie mgły się nad łąką ścielą i mrok szybciej osnuwa ziemię.

Zawsze głowę miał słabą i wystarczyło dwuch kieliszków wódki, ba, kilku szklanek piwa, by stał się ponad miarę rozmowny. Przy każdej takiej okazji plótł niezdarzone opowieści, sięgające zazwyczaj czasów, których już nikt z jego słuchaczy nie pamiętał, a niejeden nawet nigdy o nich nie słyszał. W takich okolicznościach najchętniej rozwodził się o swoim wuju, niebywałym siłaczu, który miał „laskę“ nabijaną gwoździami, wagi chyba z półtora puda i tą „laską“ — wiadomo — w czasach powstania, od pół sotni kozaków przez kilka godzin skutecznie się opędzał, zanim mu jeden, — chytry jaki! — nogi zdradziecko nie podstawił, przez co się wuj na ziemi rozciągnął i tam go, bezbronnego, zatłukli. Otóż Huterski, podpiwszy, ze łzami w oczach przysięgał, że owego wuja — wyrwidęba śmierć bohaterską na własne oczy widział, ukryty w pobliskim olszynowym gaiku.

Po paru kieliszkach również, — i tylko wtedy— można było od starego wyciągnąć „prawdę“ o ręce jego nieszczęsnej. Był bowiem taki czas, że Huterski miał wygórowane ambicje: nie chciał wciąż bydła pasać, nawet probował bielszego chleba w miasteczku. I wtedy właśnie, kiedy „przy maszynie“ pracował, chwyciło mu tę rękę między tryby i pociągnęło... Na trzeźwo o tem mówić nie lubił, nawet z niechęcią witał najlżejszą wzmiankę o swem kalectwie. A kiedyś poprostu uciął krótko:

— Et, kręć rozumem, przebieraj, a Pan Bóg zawsze mądrzejszy.

Że niby wiedział Pan Bóg, co czyni, jedną rękę Huterskiemu ujmując. Do naganiania bydła ta, co została, wystarczy. A jeszcze łaska wielka, że prawej maszyna nie tknęła, tylko lewą. Przeżegnać się człowiek może dwa razy na dzień do samej śmierci...

— — — — — — — — — — — —

A ta śmierć przyszła dziwnie jakoś niespodziewanie, chociaż ją sam Huterski niejednokrotnie przepowiadał. I gdy stanęła tuż przy nim, bliziutko, — nikt nie chciał wierzyć, — że to napewno ona, we własnej postaci, że jednak przypomniała sobie Kostucha niewypełniony obowiązek i przyczłapała, choć z ociąganiem, niechętnie.

Jeszcze teraz, jeszcze dziś wydaje się to prawie niewiarogodne. Mówi się o Huterskim, jakby ciągle żył. I to już pewnie na długie, długie lata pozostanie. Zanadto przyzwyczaili się ludziska, że stary był, jest i będzie pastuchem dworskim.

Śmierć sama do tego stopnia była widać onieśmielona, że nie wybrała zwykłej drogi, jaką do ludzi podchodzi: przez chorobę lub starość. Swoją własną śmierć — możnaby tak powiedzieć — Huterski sam wywołał po imieniu, jak ulubioną „żywinę“, udobruchał ją, ugłaskał, oswoił, — aż przyszła mu do ręki, niczem owa Jaryna, zwabiona głosem przyjaznym.

Bo właściwie zaczęło się od tego, że sprowadzili kiedyś byczka z bardzo daleka, aż ze Śląska. Śliczny to był okaz, choć jeszcze cielak. Czystej rasy „czerwonej polskiej“, brunatno-złocisty, z jasną śluzawicą i aksamitną skórą, która zwisała na podgardlu w pięknych, ciężkich fałdach. Od pierwszego wejrzenia Huterski poczuł do obcego przybysza wyjątkową wprost słabość. Pieścił go, ukradkiem nosił ze stodoły, czy z pola, dodatkowe przysmaki. Przygnawszy zaś bydło z pastwiska, nie odchodził, jak dawniej, do domu, lecz przez cały czas trwania wieczornego udoju siedział na brzeżku żłoba przy swoim ulubieńcu. O czemś tak sobie gwarzyli w ciszy, przerywanej jedynie postękiwaniem, szelestem słomy i — kiedy niekiedy — głośniejszą uwagą jednej z dojarek: „Nożka, Wiszniocha, nożka!“ (W tutejszej mowie znaczy to: „Wiśniocha, nastąp się“).

O czem gwarzyli, trudno dociec. Ale była to jednak rozmowa. Czasami młody buhaj pochylał ciężki łeb i toczył wkoło krwią nabiegłemi oczami. Wówczas Huterski odzywał się z uznaniem:

— Pięknie ty rośniesz, Tuzik. Ale i k r a m b u d z i e s t o b o j u, wielki kram. Ani ty teraz wiesz, jaka twoja siła. A r o h i też u ciebie piekne, równieńkie, aż dziw...

I tak, dla żartu, opierał swą jedyną dłoń o potężnie sklepioną nasadę rogów, a „Tuzik“, tak dla żartu, odrzucał ją daleko jednym niedbałym ruchem głowy.

Były to niewinne, przyjacielskie igraszki, ale tymczasem Tuzik rósł i rozrastał się w sobie, a w miarę przybywających sił coraz częściej ogarniała go chętka wyprobowania pięknych, „równieńkich“ rogów na jakiejś żywej istocie... Tracił też z wiekiem dziecięcą dobrotliwość. Niechętnym, krwawym błyskiem oczu mierzył zuchwałych fornali, którzy w godzinie obiadowej lubili się z nim drażnić z za płota, chichocząc głupio, gdy byk nastawiał potężną głowę do ciosu... Czasem któryś z odważniejszych chłopaków z przyzwoitej odległości szturchał zwierzę kijem, wołając:

— A nu, a nu! Nie daj się, Tuzik...

Wówczas buhaj ze złowrogim pomrukiem szarpał się na łańcuchu, aż zgrzytało stare żelastwo i trzeszczał żłób. Łańcuch wrzynał się w skórę na karku i nie pozwalał doraźnie ukarać śmiałka, który tem natarczywiej wymachiwał kijem przed nozdrzami Tuzika i podjudzał do nowych, bezowocnych prób odwetu wściekłe już zwierzę:

— A nu, ks ks, a nu! Poprobuj ty, poprobuj!...

Stało się już powszechnie wiadome, że byk jest zły jak djabeł i niebezpieczny. Jeden tylko Huterski podchodził bez obawy, jak dawniej, z okruchem chleba na wyciągniętej dłoni i śmiał się, gdy radzono, aby tych poufałości zaniechał. Śmiał się cicho i mówił, mrużąc oko, jakby to miał być dobry żart:

— Ja wiem panoczku, ja wiem, że on mi, c h w a r o b a, śmierć zrobi... Ano, niechaj t a k b u d z i e: śmierć, wiadomo, od Boga przeznaczona; nie uciekniesz...

I śmiał się znowu, trzęsąc pustym rękawem, a Tuzik do wtóru ryczał głucho, pół-żałośnie, półgniewnie.

(Dokończenie nastąpi) WANDA MIŁASZEWSKA

KOLĘDA WERGILJUSZOWA

EKLOGA IV

Muzy Sycylskie, do pieśni! wznioślejszych tonów spróbujmy!
Gąszcz karłowatych krzewów nie wszystkim się równie [podoba:
skoro śpiewamy o lasach, niech konsul nie miewa z nich ujmy!

Starych proroctw kumejskich ostatnia nadeszła już doba,
wiązać się pocznie na nowo olbrzymi łańcuch stuleci.
Wraca Dziewica! Czas-Siewca do rządów powraca królewskich!
Nowe plemię ludzkości zstępuje z wyżyn niebieskich...

Święta Patronko Narodzin! Chłopięciu bądź temu przyjazna
Które sprawi, iż wreszcie zakończy się era żelazna,
a wiek złoty powszędy nastanie... Już Słońce Twe świeci!...

Właśnie wówczas, Poljonie, gdy będziesz konsulat piastował,
błyśnie ten świt wiekopomny, ta chluba naszych pokoleń;
wówczas — jeśli się kędy ślad grzechu naszego dochował —
ziemia, — tak długo znękana, doczeka się łaski wyzwoleń...

Boski On żywot otrzyma. Obaczy niebian, mocarzy, —
oni też ujrzą go wzajem. Świat cały pokojem obdarzy
i za Ojca przykładem cnotliwie rządzić nim będzie...

Ziemia zaś pierwsze podarki Ci złoży, o Święte Niemowlę:
mirry krzew wonny i bluszczu girlandy, co snują się wszędzie,
lilje wodne i burzan, nie krzewion przez żadną hodowlę, —
tak iż sama się kwieciem przystroi Twoja kołyska.
Kozy same z mlecznemi wymiony powracać z pastwiska
do dom będą; lwów srogich nie będzie lękało się bydło.
Zginie zły wąż, zaginie trujący blekot i szalej:
wszędy zioła syryjskie wyrosną, co dają kadzidło.

A gdy, w cnotach podrósłszy i w latach zaszedłszy już dalej,
będziesz czytał o sprawach Ojca, o czynach herosów,
niwa zwolna — falując — tysiącem ozłoci się kłosów,
krwawa jagoda zawiśnie wśród pnączy kolczastych i krzewin:
a — choć pierś mają twardą — miodami operlą się dęby...
Jednak gdzieniegdzie zostanie ślad dawnych grzechów i przewin,
które każą groźnemi murami otaczać warownie,
pruć toń morską łodziami, a w ziemi pługiem ryć wręby.
Drugi Tiphys się zjawi; znów będzie wiózł Argonautów
okręt Argo; a nawet wojennych nie zbraknie też gwałtów
i pod Troję groźny Achilles wyruszy ponownie.

Kiedy zaś lata dojrzałe przemienią ciebie w mężczyznę,
żeglarz wyrzeknie się morza, przewozić towarów nie będzie
okręt, — boć wszystkie krainy bogate będą i żyzne.
Nóż nie skaleczy winnicy; ni rydel — ziemi na grzędzie;
także i krzepki rolnik już wołów do jarzma nie nagnie.
Wełny nie będą farbować w kolory fałszywe i zwodne,
ale baranek na łące sam zmieniać będzie swe runo
w złotogłowie — to znowu purpury okryje się łuną;
samo też w czasie paszy szkarłatem odzieje się jagnię.

„Takie wieki niech płyną!“—wyrzekły, w decyzji swej zgodne,
Prządki niezmiennych losów; to rzekłszy, wrzeciona przesuną...

Przyjdź i króluj nad nami—boć czas nadchodzi twej chwały—
Synu Boży najmilszy, następco Ojca wspaniały!
Spójrz na wszechświat, co gnie się pod ciężką bezmiarów kopułą,
spójrz na ziemię i morskie rozdroża i niebios głębiny,
spójrz! — by wszystko wiek nowy i jego radość odczuło!...

Obyż mi wtedy została choć resztka długiego żywota
i tchu tyle, bym mógł opiewać Twe dzieła i czyny!
Od Orfeusza trackiego wspanialejbym śpiewał i górniej
i od Linusa — choć będzie Orfeja wspomagał głos matczyn
Kaljopei, Linusa zasię Febowa gęśl złota.
Nawet Faun Arkadyjski, w śpiewacki wdawszy się turniej,
przyzna, żem jego przewyższył (a cała Arkadja przyświadczy).

Zacznij, mała Dziecino, poznawać swej matki uśmiechy:
wieleć miała utrapień w dziesięciu zmianach księżyców;
zacznij, mała Dziecino! Kto nie zna uśmiechu rodziców,
tego minęły biesiad niebiańskich najwyższe uciechy.

Przełożył JÓZEF BIRKENMAJER

OD TŁUMACZA

Utwór ten, górujący zarówno tonem jak nastrojem nad resztą Wergiljuszowych „Sielanek“ *(Bucolica)*, w których zbiorze zamieścił go poeta, wiąże się ściśle ze starodawnemi proroctwami Sybilli Kumejskiej, uwiecznionej następnie w VI-ej księdze „Eneidy“, a jest wyrazem nastrojów społeczeństwa rzymskiego, skołatanego długoletnią wojną domową i tęskniącego za dobrobytem, ładem i spokojem. Odwieczny mit o złotym wieku ludzkości, którego niezakłócone, sielskie szczęście rozwiało się doszczętnie w następujących po nim okresach: srebrnym, spiżowym i żelaznym, stał się na schyłku republiki i w pierwszych latach cesarstwa jednym z najczęstszych tematów (Tybullus, Owidjusz, poniekąd i Horacy). Wierzono, iż wiek ten złoty znów powraca na ziemię, że zatem rozpoczyna się nowa era w dziejach ludzkości. Czasy Augusta w znacznej mierze przyniosły ziszczenie się tych marzeń i nadziei: w świecie zapanował ład, pokój i dobrobyt, kultura i poezja rzymska doszły do niewidzianej dotąd — i odtąd nieprześcignionej — świetności. Uosobienie sprawiedliwości — Dziewica Astrea — zyskała znów miejsce w świecie. Przypomniano sobie o rządach, jakie ongi miał w Italji sprawować Chronos-Saturn, w jednej osobie Bóg czasu i plonów rolniczych.

Ekloga IV-ta powstała na dziewięć lat przed zwycięstwem Oktawiana pod Akcjum i objęciem przez niego panowania nad światem. Świadczy o tem wzmianka o konsulacie Poljona, przypadającym na rok 40 przed Chrystusem. Poeta liczył sobie wówczas lat 30 i daleko mu było do owej „resztki długiego żywota“, w której prągnął obaczyć wymarzonego — a dopiero mającego się narodzić zbawcę ludzkości. Ponieważ zbawca ten nazwany został przezeń synem bożym, ponieważ narodzeniu jego miały towarzyszyć nietylko hołdy niebian i mocarzy (Heroes), ale i radość całej natury, ponieważ była mowa o pasących się barankach i o zgubie złego węża, a wspomniana była i dziewica, sprawczyni zbawienia, — zatem szczegóły jakby żywcem przejęte z Nowego Testamentu — przeto pomimo wszystkich aluzyj pogańsko-mitologicznych do Jowisza, Parek, Apollina, Fauna i Kaljopy poczytano z czasem ten utwór za proroctwo, odnoszące się do narodzin i życia Chrystusa Pana. Przez całe wieki średnie uchodził Wergiljusz za chrześcijańskiego niemal proroka — temu też (oraz innym względom) przypisać należy ważną rolę, jaką poecie mantuańskiemu wyznaczył w „Boskiej Komedji“ Dante Alighieri.

Nazwę „Kolędy“ na oznaczenie tej eklogi wprowadziłem za przykładem poety XVII wieku, Kacpra Miaskowskiego, który utwór ten tłumaczył, a raczej przerabiał, dodając doń różne aktualne wówczas aluzje.

J. B.

NA WIDOWNI

Przy opłatku. — Mickiewicz i my dzisiejsi. — Wielkie świeczniki i żarówki bez kontaktu. — Patos dawnej literatury i obecny merkantylizm. — Perkaliki drukowane w kwiatki polskie. — Co się stało z wielką dyskusją romantyczną? — Rozum, uczucie, działanie. — Gwiazda Mickiewicza i nasza wigilja.

POLSKA uczciła pamięć Jana Śniadeckiego w setną rocznicę jego śmierci obchodami; odbyły się one w Żninie wielkopolskim, gdzie Śniadecki się urodził, w Wilnie, gdzie pracował szereg lat i tam w pobliżu umarł, wreszcie w Warszawie, gdzie ogniskować się winna wszelka pamięć i wszelka myśl polska.

W ćwierć wieku po Śniadeckim zmarł na obczyźnie jego uczeń, Adam Mickiewicz, o tej samej porze roku. Fala dziejowa, fala dosłownie idei patrjotycznej odrzuciła ucznia nieposłusznego, a jednak ucznia, na kraniec Europy nad Bosfor. Stąd ciało wieszcza drogą okólną na Paryż przybyło po latach do Polski i wyniesione zostało nad poziomy — na Wawel.

Idea Mickiewicza — nie mogło inaczej być — zagórowała nad wiekiem XIX myśli polskiej. Ale i mogiła Jana Śniadeckiego w Jaszunach nie zapadła się wklęsło; w miarę jak osiadają nad stuletnią przeszłością mgły rozmarzeń romantycznych i dymy walk ideowych, staje się widna coraz wyraźniej postać Śniadeckiego. Urasta i zbliża się.

Czy dobrze jest w czas wigilijny rozpamiętywać groby? Dobrze, jeśli się traktuje grób jako ogniwo w łańcuchu twórczych pokoleń, jako miejsce, od którego zaczyna się nowe życie. Weszło przytem w zwyczaj doroczny święcenie imienin Mickiewicza w dniu wigilijnym.

Te dwie postacie Śniadeckiego i Mickiewicza, odsunięte od siebie w czasach walki o ideę, pochylają się z wiekiem ku sobie, że w naszych oczach tworzą już jedną wyniosłość z pogranicza okresu nowożytnego dziejów ducha polskiego. Od niej zaczyna się na dobre era formowania nowoczesnej samowiedzy narodowej.

My dzisiaj musimy zapytać siebie, w jakim pozostajemy stosunku do wszczętej przez nich wielkiej debaty na temat duszy polskiej. Co się z tą dyskusją stało? Czy to była taka sobie pisanina dwu ludzi, czy też miała znaczenie historyczne? Jeśli to drugie, to cóż my mamy dzisiaj do powiedzenia, aby się nawiązać do historji? Zapytajmy tak współczesnych Śniadeckich i Mickiewiczów.

Redaktor miesięcznika uroczyście literackiego, „Pamiętnika Warszawskiego“ L. H. Morstin, jakby przeczuwając moje pytanie, wystąpił z rozprawą „Literatura w obliczu zagadnień bytu narodowego“ (zesz. paźdź.). Oto jego myśli:

Literatura polska, odkąd naród obaczył się wolnym, bujająca „od stu lat pod tchnieniem miłości ojczyzny... należy już do przeszłości... Poeci poczuli się nazbyt silnie związani z okrwawionym globem, by zaprzątać sobie umysł jedną dzielnicą tego globu, choć ta dzielnica w języku umarłych nazywa się ich umiłowaną ojczyzną“...

„Równocześnie z odkryciem nowych haseł i nowych ideałów wszechludzkich, któremi odtąd miała żyć literatura polska, powstały wielkie nadzieje na zdobycie zagranicznych rynków dla zbytu naszej twórczości literackiej“...

Tak naszą dobę literatury przedstawia pisarz, o którym w temże piśmie powiedziano przed rokiem, że „znakomicie pogłębił myśl Kopernika“; zajął się też pogłębieniem tej idei komiwojażerskiej. Zwraca on uwagę kolegów, że tematy międzynarodowe nie wystarczają:

„Wyzbywając się egzotyzmu, który tkwi w najgłębszych pokładach myśli polskiej, nie będzie literatura nasza ani ciekawa, ani bardziej oryginalna od innych literatur świata... Twierdzę, iż literaci, czerpiąc ze źródeł natchnienia, zasilonych przez tradycję plemienną i odrębność obyczaju, a przedewszystkiem przez ciągłą walkę o tężyznę i szlachetność duszy zbiorowej narodu, łatwiej dojdą do głosu na trybunie międzynarodowej“...

A więc trzeba hodować „egzotyczność plemienną“ — na eksport, a zresztą zdać się na państwo.

„Bogate(?) i potężne państwo polskie, prowadzące mocarstwową politykę z rozmachem godnym najświetniejszej tradycji, może zapewnić literaturze naszej to stanowisko, jakie jej się należy w rodzinie narodów“.

P. Morstin mówi w tak miły sposob o państwie subsydjującem, ale rozróżnia oczywiście literaturę patrjotyczną „tonącą we frazeologji łatwych rozczuleń“, oddającą się „bałwochwalstwu powag i naśladownictwu genjuszów“ — od „twórczości szczerych artystów, którzy ogłosili zmierzch patrjotyzmu w imię ideałów ponadnarodowych“. I tej tylko twórczości przyznaje prawo bytu z warunkiem, że weźmie udział w współpracy państwowej. A „gdy miłość i sprawiedliwość stanie się esencją duszy wszystkich ludów, pierwsi będziemy zaorywać miedze graniczne“...

To jest odpowiedź na postawione wyżej pytanie. Śniadecki, poddając Polsce metodę bycia duchowego, mówił: rozum; Mickiewicz zalecał: uczucie. Gdyby wziąć za model p. Morstina, my dziś: ani rozumu, ani uczucia. Literatura w zasadzie jest na wywóz, jak perkaliki, ale poważny organ literacki, subsydjowany przez rząd, doradza życzliwie stosować motywy polskie na perkaliku, bo to daje markę egzotyczności.

Dzisiejszy literat — pokazuje się — zgubił wątek dawnych trosk o ideę. Wydaje mu się, że dla twórcy duchowego, jakim jest pisarz, „zagadnienie bytu narodowego“ mieści się bez reszty w budowaniu „państwa“. Nawet przez myśl mu nie przejdzie, że „byt narodowy“ jest zagadnieniem psychicznem i że artysta czy myśliciel w tym zakresie nie ma nic innego do budowania, jeno duszę polską.

I dziwią się, że literatura w upadku. Literat z Penklubu jest jak żarówka (nie nazwę dla przyzwoitości marki), która szuka kontaktu po świecie, gdy twórcą po wszystkie czasy był tylko ten, co miał własną baterję. Elektyczność trzeba mieć własną, wytwarza ją organicznie naród, jako siłę popędową swej kultury w ciągłej pracy. Państwo jest jednym z rezultatów tej pracy, siła jednak wytwarza się w głębiach moralnych. I państwo, nie tylko literatura, będzie tylko żarówką, szukającą kontaktu, jeśli utraci to połączenie wewnętrzne z narodem.

Śniadecki, Mickiewicz — to przedewszystkiem symptomaty tej pracy. Nie byliby siłą płodną, gdyby nie mieli w środowisku narodowem pokrewnego ruchu, który doczekał się w nich swego wyrazu i pozwolił mu dojść do uświadomienia.

Rozum i uczucie nie kłócą się z sobą — są to dwa bieguny tej samej duszy. Oba te czynniki były w Polsce *in statu nascendi.* Oba są potrzebne. My dzisiaj nie pokonywamy Mickiewicza Śniadeckim, ani odwrotnie. Wiemy bowiem, że procesy duchowe trwają bez przerwy, choćby dławione

i opóźniane, składają się na siłę potencjalną. Czekają na genjusza, który je wyjawi.

Rozum i uczucie w Polsce w wieku XIX w pozornym tylko były antagonizmie; one się szukały, aby się uzupełnić; czekały w dojrzewaniu a w ciężkich próbach na swoją syntezę. Szukały rozmaitemi drogami. Mickiewicz wybiegł na ostatnie krańce, gdzie może sięgnąć myśl przez wytężenie mistyczne, w drogi astralne, aby szukać prawdy — tej samej, której szukano w kraju na piechotę. I wszędzie duch się schodził. Mickiewicza praca była ciężka, nie każdy chodzić może temi drogami, wykonał ciężką pracę dla nas, którzy powołani jesteśmy tu na ziemi prawdę wiedzieć i ją realizować. Otóż stwierdził i to nam zostawił w testamencie, że jedynie syntetyczne dla ducha jest **działanie**.

„Nowy człowiek (syntetyczny) musi się uczuć synem swego narodu, posterunkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i ofiarach krwawych, trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zmienić w płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas, jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła“.

Kiedy tak wieszczył w Paryżu (1844), do tej syntezy w skromnem środowisku warszawskiem dochodzili już przedtem pisarze drogą dociekań filozoficznych, z podniety danej przez Józefa Gołuchowskiego i Libelta. Na co kogo było stać, każdy słowo dorzucał i myśl nieraz świetną: czy Henryk Kamieński, czy młodzieniaszek Edward Dembowski, czy Majorkiewicz. Słuchali ich bacznie i rozumieli, jak kogo było stać, poeci ówcześni: Lenartowicz, Czajkowski, Żmichowska, Norwid.

Jak przed dwudziestu laty na Litwie w pieśni widziano „arkę przymierza“, tak teraz tutaj — w myśli. A prąd ten filozoficzny niósł z sobą namuł, a w nim pierwiastki żywotne już nie pieśni gminnej, ale myśli ludu mazurskiego, który niezna innej syntezy człowieka, — jak tylko **pracę**. Stąd rodem w poezji Norwid ze swoją ideą pracy, jako postaci organizowanego na stałe **działania**. Stąd potem „pozytywizm“ warszawski, który postawił ołtarze rozumowi Śniadeckiego. Stąd jeszcze później — dalszy rozwój myśli polskiej, rozszerzający syntezę i uczuć i rozumu i pracy na działanie polityczne.

Wynikiem tej pracy duchowej była postawa Polski na czas wielkiej wojny i świadectwo maturalne, wydane jej w traktacie Wersalskim.

Nie wszyscy o tem dziedzictwie wiedzą. Bywa tak na uniwersytecie, że młodzieniec bez kurateli zostawiony sobie, szuka ponęt w próżniactwie i łobuzerce. Kilka jednostek ze złego towarzystwa potrafi czasem nadać ton fałszywy całemu zbiorowisku i zapanować nad niem. Umyślnie przypominam przy opłatku rodowód obecnej Polski myślącej, aby uprzytomnić elicie, czyim właściwie jest „dziedzicem“ co ma obowiązek „zmieniać w jedną płonącą gwiazdę“, co ma odnaleść w sobie „jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siłę“.

Zadaniem elity, tworzącej rzeczy artystyczne, nie może być nic mniejszego, niż to, co obowiązuje każdego myślącego człowieka. Przeciwnie jej „gwiazda“ ma płonąć, jak latarnia morska, będąca drogowskazem dla innych. Tworzyć — znaczy praować nad własną duszą; bezduszność jest zaprzeczeniem twórczości. Najładniej artystycznie polerowana żarówka ślepa jest, gdy brak połączenia z prądem narodowym. Nic nie pomoże „współpraca“ z państwem, ani pomoc państwa w eksporcie tandety, choćby nakrapianej motywami polskiemi. Co bezduszny literat może dać państwu? Niechby wprzód duszę sobie zrobił z tego dziedzictwa, jakie mu naród dał, wtedy nawet niewielkiemi środkami talentu będzie użyteczny sprawie kultury i twórczości powszechnej.

W dzień wigilijny, łamiąc się opłatkiem, pocieszamy się tem, że tak źle w Polsce nie jest, jakby się wydawać mogło według elity z nieprawdziwego zdarzenia. „Ogień“,—o którym uczył Mickiewicz— utrzymywany jest stale na ołtarzu ducha polskiego. Wiara w naród jest naszym wzrokiem wewnętrznym, który nawet w chmurną noc widzi „płonącą gwiazdę“ nad Polską.

ZYGMUNT WASILEWSKI

NAUKA I LITERATURA

„SZKOŁA AMBASADORÓW“

„..choć o Polskę toczyły się między Dworami układy, polska dyplomacja żadnego w nich nie miała udziału, nie wiedziała o niczem i przez cały ciąg sejmu w niczem nie usłużyła narodowi“.

Ks. Walerjan Kalinka, „Sejm Czteroletni 1788 — 1792 r.“ tom I str. 334.

TO ZDANIE Kalinki nasuwa się na myśl przy czytaniu świeżo wydanego staraniem kwartalnika „Sprawy Obce“, studjum J. J. Jusseranda, ambasadora Francji, „Szkoła ambasadorów“, w przekładzie d-ra Marjana Henzla. Nie mówi J. J. Jusserand o posłach i ambasadorach polskich, bo dopiero u schyłku poprzedniej państwowości polskiej zaczęto w sejmie myśleć o stabilizowaniu stanowisk poselskich. Nie mówi też o dyplomatycznej literaturze polskiej, bo taka, wyłącznie temu przedmiotowi poświęcona, nie istnieje. Niedawno, przed wydaniem „Szkoły ambasadorów“, księgarnia F. Hoesieka wydała podręcznik Calliera „Sztuka dyplomacji“ w przekładzie Mieczysława Szerera. To, prócz szczupłej ilości wydawnictw materjałów dyplamatycznych, nieledwie wszystko, co literatura nasza w tym przedmiocie posiada.

Rzecz to przyszłości.

Materjał aktów z poselstw przygodnych, źródła historyczne, dotychczas odłogiem leżące, są tak obfite, że dla przyszłych historyków i teoretyków dyplomacji polskiej wystarczą na długie lata pracy. Czy to korespondencja króla Zygmunta Augusta, jego tak zwanej „małej kancelarji“. Czy, już o typowym i wyrazistym charakterze, poufna korespondencja Stanisława Augusta z posłem polskim w Petersburgu Debolim i posłem polskim w Londynie Bukatym. Wartość jej o wiele cenniejsza, niż oficjalna z posłami za panowania tego króla korespondencja Komisyj Sejmowych. Za to nieprzebraną ilość nowych wiadomości z poza kulis historji rozbiorów zawierają raporty upełnomocnionych w Warszawie obcych posłów, rosyjskiego Stackelberga i pruskiego Lucheniego. Tak jak i korespondencje zaborczych trzech dworów w epoce powstań.

„Szkoła ambasadorów“ poddaje analizie istotę posłowania od czasów, gdy greckie słowo *barbaros* oznaczało obcego, który nie będąc Grekiem był uważany za barbarzyńcę, a słowo łacińskie *hostis* oznaczało zarówno obcego, jak i wroga. Z czasem idea Chrystusowa wprowadziła wśród narodów pojęcie „rodziny chrześcijańskiej“, w której namiestnik Chrystusowy, Papież, miał być między narodami zawsze gotowym pośrednikiem, twórcą pokoju. Najpierw też rozwinęła się służba dyplomatyczna Papieży, później

książąt i republik włoskich, przedewszystkiem republiki weneckiej, gdzie wyposażono ją już w trzynastym wieku w ścisły regulamin. Wybierano na posłów historyków, myślicieli i djalektyków. Posłowali poeci, Dante, Petrarka, Boccacio, Tasso, który prócz słynnej „Jerozolimy wyzwolonej" napisał djalog o ambasadorach. Posłował sławny autor „Księcia", Mikołaja Macchiavelli. Misje ich jako posłów były czasowe, jednak gdy idea „rodziny narodów" zawodziła, rozpowszechnił się zwyczaj, z końcem piętnastego wieku, równocześnie z wprowadzeniem stałych armij, posiadania stałych ambasad. Uważano, że praca ambasadorów może być „drogą do szczęścia" dla reprezentowanego przez nich kraju. Powstaje teorja sztuki dyplomatycznej.

Jaki wedle niej, ma być poseł?

Przystojny, nawet piękny, choć, jak zauważa jeden z pisarzy, Cezar, mimo że był łysy, mógłby zostać wielkim ambasadorem, gdyby tylko był spróbował. Nie powinien być poseł ani tak stary, by zły stan zdrowia lub ciężar lat mógł przeszkadzać mu w działalności, ani tak młody, by okazał się niedojrzałym lub nierozważnym. Nie dobrze też posyłać protestanta do Papieża, lub biskupa do Turków. Niech będzie w korzystnych stosunkach majątkowych, aby mógł zdobyć się na przepych reprezentacji i niech posiada „dobrze brzmiące imię". Więcej jednak w wyborze powinny znaczyć osobiste jego zasługi niż czyny przodków. „Do kierowania okrętem nie wybiera się tego podróżnego, który jest z najlapszej rodziny".

Traktaty z epoki renesansu wymagają od ambasadora dużej uczoności i świetnej wymowy. Lecz niech nie próbuje uwodzić pustą wymową, czy też liryką, „nutą Pindarową", bo ta nie wzruszy Szwajcara ani Holendra. Powinien być biegłym w Piśmie św., w sztuce djalektyki, w naukach politycznych, w historji naturalnej, astronomji, matematyce, geografji, sztuce wojskowej, filozofji, muzyce. Z czasem te wymagania okazały się przesadne. Bądź co bądź inny autor podręcznika żądał, aby ambasador znał prawo, filozofję polityczną, obce języki, i stale, oddając się studjom, posiadał „trening intelektualny", był człowiekiem czystych rąk i zalet towarzyskich. Nie wiadomo zresztą, jakich umiejętności posiadanie może się przydać. Autor „Szkoły ambasadorów" pisze, że uprawianie przez niego w młodości sportów przydało mu się na stanowisku ambasadora Francji w Stanach Zjednoczonych, bo dzięki temu mógł towarzyszyć Prezydentowi Roosweltowi w jego sportowych wycieczkach, a przy tej sposobności omówić niejedną polityczną sprawę.

Czy ambasador, choć utalentowany, dobrze broni interesów swego kraju, starano się badać przez szpiegów-obserwatorów. Ludwik XIV badał prywatne życie swych posłów. Nie obojętne było w przyjmowaniu przez nich prezentów, gdzie kończyła się uprzejmość, a zaczynało przekupstwo.

Kwestja, czy ambasador może i ma odbiegać od prawdy wobec obcych, była omawiana przez wielu uczonych. Wszyscy opowiadają się za prawdomównością, jednak „w nagłych wypadkach lub dla ważnych powodów", dodają do tego w formie zastrzeżeń drobne „ale", z nadmienieniem, że „przymieszka kłamstwa zawsze dodaje przyjemności", lub że „kto nie umie udawać, nie umie też i rządzić".

Aby więc wykształcić i praktycznie wychować przyszłych ambasadorów, pojawiły się w osiemnastem stuleciu seminarja ambasadorów, a nawet szkoły. Organizację ich cechuje zrozumienie ważności tego zawodu. Już zatem ma dominować w nim nie jego zewnętrzna i błyskotliwa strona, ale celowość powierzonych mu do spełnienia obowiązków. Przedmiotem nauk, prócz nauki obcych języków, prawa międzynarodowego i historji powszechnej, jest przedewszystkiem historja swego narodu. Zważa się na talent i bystrość umysłu kandydata, jego przyrodzony rozum i indywidualność. De Callierès, autor podręcznika „Sztuka dyplomacji", pisze: „Bywają misje przelotne i jedynie dla parady, jak np. misje z okazji ceremonji zaślubin i chrztu... Ale, gdy chodzi o istotne rokowania, wówczas potrzeba człowieka z głową, a nie strojnej kukły". Krótko mówiąc: posła, nie posłańca.

Taką jest treść zwięzłego studjum ambasadora J. J. Jusseranda. Kiedyś, przy podejmowaniu fachowego wykształcenia naszej dyplomacji, której członkowie, jak dotychczas, dobierani bywają z pośród ludzi innych zawodów, kresowych ziemian, adwokatów i lekarzy, bliższe zapoznanie się z książką „Szkoła ambasadorów" może przydać się bardzo.

ANTONI WYSOCKI

RUCH WYDAWNICZY

Miłą pamiątką 2000-lecia urodzin Wergiljusza jest książka prof. Tadeusza Sinki „Nasz przyjaciel Maro" (Krakowska Spółka Wydawnicza). W pewnej mierze stanowi ona dopełnienie dwóch dawniejszych książek tegoż autora, a mianowicie opracowania szkolnego wyboru dzieł Wergiljuszowych, oraz gruntownego wstępu do wydania „Eneidy" w „Bibljotece Narodowej". Ostatnie uroczystości ku czci „najwyższego z poetów", święcone w całym świecie, przyniosły sporo nowego materjału, oświetlającego lepiej i głębiej, niż dotychczas, postać wieszcza mantuańskiego. Z materjału tego Sinko skorzystał w całej pełni, dodając do tego przygarść własnych świeżych spostrzeżeń. Jak w swych poglądach na Homera, tak i w studjach wergiljańskich jest Sinko zwolennikiem nauki francuskiej, zgodnie z nią zręcznie zbija ciężkie diatryby uczonych niemieckich, starających się dowieść, że Wergiljusz — mistrz znienawidzonych przez nich literatur romańskich — był poetą pozbawionym talentu, a przynajmniej natchnienia i oryginalności. Wykazawszy, ile nowych pierwiastków wniósł Wergiljusz do poezji światowej, przedstawia następnie oddziaływanie jego dzieł na twórczość, kulturę i etykę wieków następnych, wreszcie zaś zaznacza ścisły związek, jaki łączył jego osobę i utwory z naszą literaturą i narodową tradycją. Może przydałaby się wzmianka i o łączności „Przedświtu" Krasińskiego z „IV eklogą", z której *motto* zostało umieszczone na czele tego utworu

*

Ludwik Robert Stevenson zapytywał w pięknej, poetyckiej przedmowie do „Wyspv Skarbów", czy w młodem pokoleniu budzą jeszcze entuzjazm tak pocztyne niegdyś powieści J. Fenimore'a Coopera. Gdyby chodziło o Polskę, odpowiedź niewątpliwie wypadłaby twierdząco. Autor ten bowiem, znany polonofil (prezes komitetu polsko-amerykańskiego w r. 1831) i przyjaciel Mickiewicza, nigdy u nas nie stracił poczytności. Dowodem tego są ponawiające się wciąż wydania „Szpiega", „Ostatniego Mohikanina" etc., podejmowane przez Księgarnię świętego Wojciecha. Ostatniemi czasy w redagowanej przez Cz. Kędzierskiego „Bibljotece podróży i przygód" (Wydawn. Polskie, Poznań) ukazała się w dobrym przekładzie B. Rychlińskiego powieść Coopera „Pilot". Zasługuje ona na uwagę nietylko przez barwną treść, przez bogaty wątek przygód, ale i przez to, że jest to historycznie pierwsza w literaturze świata powieść prawdziwie morska, wprowadzająca nas *in medias res* życia statku na oceanie. Rychliński, jako rezerwowy oficer marynarki, jest doskonałym znawcą budowy okrętu, a zatem i wszelkich nazw technicznych, które tyle trudności zwykły sprawiać tłumaczom. Dzięki temu powieść może nietylko zająć czytelnika, ale i wielu rzeczy go nauczyć.

*

Mówi gdzieś E. A. Poe, że matematyka—ale nie w ciasnem, szkolarskiem znaczeniu tego wyrazu — powinna iść w parze z poezją. Istotnie, te dwa działy ludzkiej twórczości nie są od siebie tak odległe, jak się wydaje niektórym bakałarzom i wierszopisom. Poezją parał się przecie jeden z największych umysłów matematycznych, jakim był Kopernik — przykładów takich znaleźćby można znacznie więcej. Dość wspomnieć, że sam patrjarcha i patron matematyki, Pitagoras, wciąż akcentował ścisły związek — zarówno formalny jak i wewnętrzny—jaki zachodzi między matematyką i pieśnią. Dlatego też zapewne nie będzie rzeczą nazbyt dziwną, że utalentowany poeta, jakim jest autor „Przechodnia", Szczepan Jeleński, z zawodu zresztą inżynier, namiętnie kocha matematykę i lubi o niej zajmująco opowiadać (oby tak czynili profesorowie tego przedmiotu w szkołach—jak wielu i jakże chętnych mieliby słuchaczy!). Po „Lilawati" otrzymała młodzież nasza (i starsi) drugi zbiór rozrywek matematycznych, noszących arcytrafny tytuł „Śladami Pitagorasa" (nakł. księg. św. Wojciecha). W pięknej przedmowie wykazuje autor (za świętym Augustynem), że mate-

matyka jest głębszem podłożem takich dziedzin jak filozofja, zagadnienia moralne, a wreszcie i sztuki piękne. Treść, bardzo urozmaicona, a wspomagana 300 rysunkami, zawiera nietylko kwestje historyczne (Pithagoriana), nietylko ciekawostki z zakresu związków między liczbami i figurami, ale wreszcie przeróżne figle, anegdoty i żarciki matematyczne. Szata graficzna jest bardzo pociągająca.

Nadmienić należy, że Jeleński pracuje obecnie nad cyklem opowiadań, osnutych na tle ewangelji, którego trzy tomiki już wyszły, a trzy wkrótce się ukażą. Żałować należy, że nie wydał dotąd swego pięknego misterjum o św. Franciszku.

*

Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu ukazały się na gwiazdkę trzy bardzo starannie wydane i wartościowe w treści książki dla młodzieży: Ochockiego Stanisława „Tajemnicza dziewczyna", E. Atkinsona „Bobik od Franciszkanów" i W. Bonselsa „Marek w lesie", Wszystkie trzy z ilustracjami Kamila Mackiewicza. Wydawnictwa księgarni św. Wojciecha, stale udoskonalane, przedstawiają się wzorowo zarówno pod względem treści, jak i wytworności wydania.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Pani Simone jest jedną z najbardziej znanych artystek dramatycznych, której talent sceniczny jest ogólnie ceniony. Z niemałem jednak zdziwieniem należy obecnie stwierdzić, iż posiada ona również i duże zalety powieściopisarskie, o których świadczy jej pierwsza książka p. n. „*Le Désordre*" (Plon edit.). Ten zaś jej „występ" pisarski jest tem ciekawszy, iż pozbawiony jest niemal zupełnie efektów aktorskich. Emma Collinet jest młodą, ale brzydką dziewczyną, której brak nawet uroku. Szara to zupełnie sylwetka, bez porywów i zdolności. Emma jest nauczycielką, ale nawet i w tym zakresie wybić się nie może. Straciła przytem ojca, swego jedynego opiekuna i kierownika, człowieka surowych zasad, ale który poślubił był jakąś zupełnie podrzędną śpiewaczkę. Przyjdzie chwila, gdy pod wpływem dwuznacznej atmosfery w domu matki i niemniej dwuznacznego jej otoczenia, Emma ulegnie jego wpływom. Wtedy zaś, gdy na statku, udając się do Algieru, pozna również podejrzaną osobistość, w osobie niejakiego Guérin, Emma bez wahania ulega zmysłom. Ten nieomieszka jej zdradzić, Emma rzuca go i powraca do Francji. Nieszczęsna dziewczyna, „obdarta" z wszelkich iluzyj, wraca do domu, i staje się ponownie skromną, szarą nauczycielką. Do tego zamknięcia się w szkole, która staje się dla niej poniekąd klasztorem, Emma jest doprowadzona przez wspomnienie ojca, na którego grobie zdaje sobie wreszcie jasno sprawę, iż pędziła rozkiełznaną egzystencję, podczas gdy ten pragnął ją widzieć w otoczeniu zewnętrznego i wewnętrznego porządku. Powieść ta ujęta w sposób dramatyczny, wykazuje wiele zalet pisarskich, jakkolwiek rytm jej jest dosyć nierówny.

*

„*Français... garde à Vous!*" Oto suggestywny tytuł książki pp. Charles du Hemme i Hubert Jacques, a do której przedmowę napisał marszałek Lyautey. „Wielki Afrykańczyk", a także wielki lotaryński patrjota przestrzega w niej przedewszystkiem przed niebezpiecznym optymizmem, który bynajmniej nie jest najlepszą drogą do utrzymania pokoju. Książka ta bowiem traktuje o przygotowaniach wojny aero-chemicznej, do jakiej zaprawiają się Niemcy w cieniu pseudo niewinnych laboratorjów, na wielką, zastraszającą skalę.

DYSKUSJA
W SPRAWIE „WYMAWIANIA W JĘZYKU POLSKIM"

Do uwag i wątpliwości p. Józefa Hłaski, umieszczonych w nr. 50 „Myśli Narodowej" co do wymawiania pewnych dźwięków polskich, chcę dorzucić parę swoich. Jeśli moje uwagi tej trudnej sprawy także nie rozstrzygną, to w każdym razie ją nieco wyjaśnią, choćby stwierdzeniem, że kwestja polskich pochylonych samogłosek, dźwięków *ż* i *rz*, wreszcie *h* dźwięcznego nie przedstawia się tak dogmatycznie, jakby to wynikało z twierdzeń p. J. Zamorskiego (który dał powód p. Hłasce do polemiki z artykułami swemi w nr. 46-49).

Zdaniem jego język polski pod wpływem ruszczyzny przeszedł „ogromne przeobrażenia", tracąc rdzennie polskie *a* długie, czyli pochylone *(á)*, dalej *o* pochylone *(ó)* na rzecz *u* przyjętego z ruskiego, stracił dźwięk *rz*, którego się dziś w wymowie kulturalnej nie rozróżnia od *ż* — pozatem nabył „zupełnie obcy, czysto ruski dźwięk: *h*, który w rdzennie polskim nie istnieje".

Prawdą jest, że najpoważniejsi gramatycy polscy tak twierdzą, że między *ó* a *u, rz* a *ż*, *ch* a *h*, w wymowie t. zw. ogólnie polskiej, różnicy niema. Ale tu właśnie stąpamy po gruncie mało zbadanym, obrobionym niedbale i pośpiesznie. Słusznie zupełnie twierdzenia p. J. Zamorskiego wydają się p. Hłasce błędnemi i słusznie mniema, „że sprawa wymawiania dźwięków w języku polskim jest u nas traktowana w sposób niedbały i arcy uproszczony".

Przedewszystkiem nie ustalono dotychczas, co to jest i jak wygląda ten „język ogólnopolski". Wiadome jest, że jakiegoś idealnego typu wymowy ogólnopolskiej niema. Jeżeli ktoś przypuszcza, że jest, to o tyle można o nim mówić, co o języku praindoeuropejskim. Jeden i drugi trzeba na drodze porównawczej konstruować. Profesor Benni przyjmuje w swej fonetyce jako temat badań wymowę klas wykształconych Warszawy, dla której jego osobista jest typową. Prof. Rozwadowski natomiast w swym „Szkicu wymowy polskiej" mówi o wymawianiu klas wykształconych zachodniej Małopolski, opierając się też głównie na własnej wymowie. Wobec takiego faktu nie można, sądzę, wyników badań osiągniętych w jednym wypadku przenosić na inne tereny wymowy polskiej i ustanawiać jakiś jednolity typ tejże.

Sądzę dalej, że pewna niechęć do zadania sobie poważnego trudu zbadania współczesnej wymowy polskiej na całym obszarze objętym polszczyzną, z zastosowaniem całego aparatu odpowiednich przyrządów, skłania fonetyków do wygodnego postawienia kwestji, że w wymowie ogólnopolskiej między *á* a *a*, *ó* a *u*, *rz* a *ż*, *ch* a *h* niema żadnej różnicy, lub do stwierdzenia, że dźwięczne spółgłoski w wygłosie absolutnym brzmią jak bezdźwięczne tego samego typu (np. *b*, *d* jak *p*, *t*). Uważna obserwacja przekonywa nas, że tak nie jest. Wystarczy wsłuchać się w wymowę, tudzież zaobserwować układ narządów mowy przy wymawianiu wyrazów np. „jaskółka" i „buda", by stwierdzić pewną różnicę fonetyczną i artykulacyjną między *ó* a *u*. Różnicę w stopniu bezdźwięczności spółgłosek wygłosowych stwierdzimy również, zwróciwszy uwagę na nie w wyrazach np. takich: *grad* i *grat*. Wyczuwam wyraźnie różnicę końcowych spółgłosek. Zapewne obok tendencji do usunięcia dźwięczności w wygłosie gra pewną rolę czynnik psychiczny dążący do jej utrzymania.

Przechodzę do sprawy usunięcia przegłosu (pochylenia) „a", „o", „e" z języka kulturalnego. Profesor Rozwadowski dopatruje się tutaj wpływu kresowego typu wschodniopolskiego, podkreślając fakt, że na obszarze rdzennie polskim, u ludu, pochylone samogłoski uparcie się trzymają (Historyczna fonetyka, str. 75, Zbior. gram. jęz. polskiego). Ale na innem miejscu mówi, że fakt rugowania pochylonych samogłosek dokonywa się „równie dobrze skutkiem wpływu obocznych form z jasnemi samogłoskami, jak niezdecydowanej różnicy jakościowej".

Otóż zdaje mi się, że te dwa ostatnie momenty odgrywają rolę zasadniczą. Chęć poprostu uproszczenia wymowy niezdecydowanych dźwięków jest jedną z najważniejszych przyczyn usuwania pochylonych samogłosek z języka warstw wykształconych. Należy też nadmienić, że i czynnik fonetyczny w pewnych wypadkach sprzyjał spłynięciu „ó" z „u" (Np. przed *r*, *l*, *m* i *n*, — *u* wykazuje tendencję do obniżenia artykulacji).

A zatem twierdzenie, że wpływ ruszczyzny wyrugował z języka polskiego pochylone *a*, *o* jest postawione bez głębszego zbadania tej kwestji. Śmiało można powiedzieć, że złożyło się tu kilka czynników jednocześnie.

Co się zaś tyczy dźwięków *ż* i *rz*, to spłynięcie tych dźwięków w języku kulturalnym jest więcej oczywiste od omówionych powyżej.

W pewnych natomiast dialektach polskich, bardzo bliskich językowi wykształconego ogółu, różnica międz *ż* a *rz*

jest jeszcze widoczną. Przeciwko twierdzeniu, że język polski utracił w wymowie *rz* pod wpływem ruszczyzny na korzyść dźwięku *ż*, przytoczę fakt, że na całym obszarze sąsiednim jęz. ruskiemu, w wymowie Polaków zachowuje się jeszcze wyraźnie *rz* w postaci *rż* („rsz"). Dlaczegóżby więc ruski język miał taki bezpośredni wpływ na polszczyznę sfer wykształconych? I ta wymowa (*rż*, *rsz*) utrzymuje się dziś w narzeczach kaszubsko-słowiańskich, w śląskich dialektach na Spiszu i Orawie, tu i ówdzie na Podhalu (prof. Rozwadowski, „Fonetyka hist".) a zatem na ziemiach nie wystawionych na wpływ ruszczyzny. Na koniec wreszcie parę uwag o dźwięku „h", jaki według p. J. Zamorskiego jest obcym, czysto ruskim dźwiękiem, „który w rdzennie polskim nie istnieje". Otóż i w tym wypadku sprawa nie jest przedstawiona ściśle.

Faktem jest, że w języku polskim dźwięczne „h" jest spółgłoską nową; w prasłowiańskim języku jej nie było. Przed spółgłoskami dźwięcznemi (b, d. g) wymawiało się „ch" zawsze i wymawia się dotąd dźwięcznie. Profesorowie Łoś i Rozwadowski stwierdzają obce jej pochodzenie (t. j. czeskie, ruskie, niemieckie); ten ostatni stwierdza jeszcze dialekty. Ciekawy jest fakt, że dźwięczne *h* istnieje w wymowie Polaków na obszarach, nieobjętych rdzenną polszczyzną, t. zn. na pograniczu czeskiem, morawskiem i ruskiem. Znów podkreślić wypada, że nie może tu być mowy o wyłącznym wpływie ruszczyzny na nabycie dźwięku *h*. Obok ruszczyzny są bardzo silne wpływy języka czeskiego w okresie XV wieku, które dotąd się na pewnych obszarach pogranicznych utrzymał. Naogół *h* występuje w wyrazach zapożyczonych, ale spotyka się i w słowach rdzennie polskich, wymawianych niegdyś z czeska.

Ale jak znowu wyjaśnić fakt, że taki naprzykład dialekt środkowej Małopolski (okolice Rzeszowa, Łańcuta, Przeworska), bliski wymowie wykształconej, gdzie o wpływie ruszczyzny mówić trudno, wykazuje wyraźnie dźwięk *h*? Jaką drogą tam się przedostał? Nie umiem na to stanowczo odpowiedzieć.

Garść powyższych rozważań, rzuconych na łamy „Myśli Nar.", ma na celu zwrócenie uwagi specjalistów na poruszoną kwestję. Jest to sprawa bardzo ważna, chodzi tu o taką rzecz, jak wykazanie, o ile język polski zawdzięcza językom sąsiednym w przestrzeni, a zwłaszcza w tym wypadku ruskiemu, którego wpływ nie jest znowu tak znaczny. Potrzeba do tego długich i żmudnych badań nad całością dialektów polskich i sąsiednich języków słowiańskich. Badania nad dialektami polskiemi, zapoczątkowane przez prof. Nitscha, są dopiero *in nucleo*. Trud taki zostałby jednak wynagrodzony oświetleniem całego szeregu kwestyj spornych w dzisiejszej gramatyce polskiej.

Lwów FRANCISZEK MACHALSKI

SZTUKI PLASTYCZNE

Z WYWCZASÓW

MOŻE ten i ów czytelnik zauważył pewien czas trwającą nieobecność moją w tym tu dziale stałego współpracownictwa. Byłem na wywczasach. Raz tylko zjawiłem się, by odpowiedzieć polemiście w sprawie fotografiki, bo nie wypadało polemiki tej pozostawić pod znakiem zapytania. Postawiłem ją przeto nanowo pod, a raczej — nad kropką. Poczem wróciłem jeszcze do wywczasów. Gdzie je spędziłem? O... daleko. Bardzo daleko. Tak daleko, że już zacząłem tracić nadzieję odnalezienia drogi do tej, na której wszyscy mieszkamy, maleńkiej kuli ziemskiej. Nie „za górami, za rzekami", lecz za słońcami i gwiazdozbiorami. Czasem człowieka niewiadomo co i niewiadomo dokąd poniesie. A muszę przyznać, że podróż ta była zawrotna i niebezpieczna.

Miałem przedewszystkiem nieporozumienia z czasem. Raz on tempo zwalniał do jednego drgnięcia na każde dwadzieścia biljonów lat (ziemskich), a innym razem — przyśpieszał do dwudziestu biljonów drgnięć na sekundę (ziemską). Ponieważ tempo czasu miałem w sobie, więc w pierwszym wypadku cały, w dwudziestu biljonach naszych lat zawarty, przebieg zdarzeń świata odczuwałem jako jedną sekundę, czyli że ogrom dziesięciu biljonów lat przeszłości i drugi ogrom dziesięciu biljonów lat przyszłości widziałem jako jedną chwilę, jako niemal nierozkładalną teraźniejszość. Zaś w drugim wypadku sekunda ziemska rozpadała mi się na dwadzieścia biljonów wyraźnie rozróżnianych zdarzeń oddzielnych. Gdy tempo mojego czasu zwalniało aż do kresu, świat w moich oczach rozwijał się z coraz większą szybkością, a kiedy mój czas pośpieszał — świat zdarzeń wlókł się coraz leniwiej. Wszystko to, naturalnie, w porównaniu i zestawieniu z ziemskim czasem i ziemskiem odczuwaniem.

Analogicznych niespodzianek dostarczała przestrzeń. Albo zbiegała się w sobie i zwierała tak, że cały znany nam wszechświat malał do rozmiarów punktu ledwie dostrzegalnego, albo się rozpościerała tak, że atom miał rozmiary kuli ziemskiej. Kiedy przestrzeń zbiegała się, nasz system słoneczny razem z dumnym globem ziemskim niknął bez śladu, a ja dokoła czułem obecność niezliczonych, wielkich, jak nasz, wszechświatów. Gdy zaś przestrzeń rosła w sobie, okruch kurzu, w powietrzu wirujący, stawał się systemem słonecznym, a świat ziemski przybierał postać oceanu mgieł, które tylko opalizowaniem barw mówiły o tem, że w ich wnętrzu drga różnorodne i bogate życie.

Świat ludzki żyje pomiędzy temi dwiema nieskończonościami czasu i dwiema nieskończonościami przestrzeni. Ma on swój własny czas i swoją własną przestrzeń (pod względem miary), ale związany jest z tamtemi jednorodnością treści, przez co może o nich myśleć, a nawet przenikać je do pewnych granic wyobraźnią plastyczną. Niebezpieczeństwo takiego przenikania w tem jedynie się zawiera, że można zgubić drogę powrotną do stosunków ziemskich. Znarowione tempo czasu i rozuzdany zmysł przestrzeni z trudnością dają się przystosować do norm życiowych. Trzeba dobrze podwiązać skrzydła myśli, do takiego lotu nawykłej, aby zaczęła chodzić równo z szeregami zjawisk, a przynajmniej nie nazbyt od nich się oddalała. Doskonałą w tym celu podwiązką są sztuki plastyczne.

Oto, naprzykład, ci poczciwi artyści-malarze. Co to za wspaniała sztuka — malarstwo! Niema w niem czasu. Ani śladu czasu! Widz przygwożdżony do jednej chwili może trwać w niej bez ruchu i sycić się nią w błogosławionym spokoju nerwów i mięśni. Ale i przestrzeń w malarstwie ograniczona jest do jednej miary i jednego układu, ściśle w kręgu widzenia zawartych. Zatem i tu bezruch i spokój A jednocześnie — życie, całe mnóstwo życia wielobarwnego!. Cóż-to za cud! W nieogarnionym kołowrocie ruchu szalonego, w którym, jak na wyścigach wiecznych, pędzą sekundy i wieki, biljonowe cząstki sekund i biljonowe wieków skupiska, — tu nagle taki pyłek życia, jak artysta-malarz, zatrzymuje ogniste rumaki czasu i przestrzeni, wyłamuje z nich jedną chwilę kształtną i kolorową, czyni z niej ognisko ducha i każe mu trwać i trwać niezmiennie a żywo! Gdyby to trwanie bodaj tylko jeden dzień się dłużyło, już-by to był cud godny podziwu. Lecz wizji malarskiej można i tysiące wieków trwania zapewnić...

Po powrocie do zajęć codziennych, głównie dzięki malarstwu osiągnąłem możliwą zgodność pomiędzy własnem a obowiązującem dokoła tempem czasu i układem przestrzeni. Trafiłem właśnie na ostatnie dni cząstkowych wystaw — St. Wyspiańskiego w hotelu „Polonia" i Z. Stryjeńskiej w lokalu żarówek Philipsa. W przypuszczeniu, że i w innych jeszcze kryjówkach stolicy pochowane są jakie wystawy ciekawe zwiedziłem następnie browar Machleyda, garbarnię na Woli, gmach zarządu tramwajów miejskich, hale targowe, i arkady pod zjazdem Alei 3 maja, ale tam, o dziwo!, żadnych wystaw malarskich nie było. Dopiero potem przypomniałem sobie o istnieniu Zachęty i Salonu Garlińskiego. Zachęta była zamknięta, bo urządzała Salon Doroczny, o którym zapewne

następnym razem trzeba mi będzie napisać. Zaś w Salonie Garlińskiego zmieniło się parę wystaw niedość ciekawych: Norblin, malujący kilometrowe portrety urzędowe, na których stoją dostojnicy, obwieszeni zabawkami z choinki i orderami z kotyljona — całkiem jak kacykowie z Njam-Njamu, oraz francuski malarz Martin — taka sobie, średniomiła sztuka z kulturą i smakiem.

O Wyspańskim tyle się już pisało, że możnaby raz jeszcze, ale pod warunkiem urządzenia wielkiej, całkowitej wystawy jego dzieł, wystawy wspaniałej pod względem miejsca, oświetlenia, otoczenia i katalogu, — zatem nie w browarze i nie w hotelu. Pani Stryjeńska także chyba lepszego miejsca godna. Bardzo to kulturalnie ze strony zarządu żarówek Philipsa, że umie gościć artyzm bezdomny, ale sale ma dla wystaw malarskich bardzo nieodpowiednie. O Stryjeńskiej także wiemy dość dużo, może nawet zadużo, a to z powodu entuzjazmu jej impresarjów, oraz czołobitności wszystkich krytyków żydowskich, którzy wrzaskliwym korowodem otoczyli artystkę i wyśpiewują dla niej majufesy nieprzytomne. Z powodu tego tańca jarmułek, równie jak z powodu omdleń i spazmów impresarjowych możnaby o sztuce artystki skreślić kilka uwag rzeczowych, które poważniejszy hołd jej złożą.

W swoim czasie rozmawialiśmy tu na temat „Ułana i dziewczyny" o sztuce narodowej, do której żydki piszące mają wstręt, którą zwalczają i wyśmiewają. Otóż sztuka Stryjeńskiej jest nawskroś narodowa i ludowa, we wszystkich swoich cechach artystycznych i w większości cech tematycznych — do gruntu polska. Można powiedzieć, że Stryjeńska jest jakby medjum, przez które z gwałtownością i bezpośredniością żywiołu przemawia tysiąc lat polskiej kultury ludowej i szlacheckiej — w zakresie tematu plastycznego, nastroju poetyckiego i wyrazu duchowego. Dziesiątki jej postaci z tańców, bajek, pomysłów dekoracyjnych i t.d.— to „ułany i dziewczyny", do których gwoli cudzoziemcom należałoby dodawać obszerne komentarze historyczne i etnograficzne. Dlaczegoż żydki tańczą dziś dokoła tej sztuki, którą wczoraj od wszelkiej czci odsądzały? Tak im każe polityka mafji — ten jedyny sprawdzian artystyczny krytyki żydowskiej. Gdzież podział się ich wyłączny, przez dziesięć lat trąbiony futuryzm? Zarobił na galerę i uciekł do Funchalu.

Pomimo swego rodowodu sztuka Stryjeńskiej nie posiada pogłębień dramatycznych, nie ma nurtu, płynie tylko cienką powierzchnią temperamentu zewnętrznego. I to stawia ją na przeciwległym biegunie do sztuki Wyspiańskiego. Talent artystki, nawskroś kobiecy, pozbawiony zmysłu tragicznego, nawet w liryce swej staje się przejrzyście płytki. Dlatego też artystka załamuje się beznadziejnie na takich tematach, jak „Krąg Piastów", nie dotrzymuje siły w bogach i bożkach słowiańskich, a w symbolicznych pomysłach, jak naprzykład „Ogień" i „Woda", napróżno żywością barw i kształtów pokrywa ich pustkę duchową. Artystka sama bezwiednie dziełami swojemi wyznacza poziom dla siebie odpowiedni, gdzie obraca się swobodnie. Gdyby słuchała przesadnych uwielbień impresarjów, mogłaby obłąkać swój instynkt artystyczny, za którego głosem idzie w bajkach, tańcach i tym podobnych tematach, nie wymagających siły i głębi. Tu jest u siebie, w swoim wymiarze, na własnych wyżynach. Te zaś zapewniają artystce godne w malarstwie miejsce. Najlepiej żyć w zupełnej zgodzie z przyrodą.

Zgoda z przyrodą — oto co, jeszcze przed malarstwem, dało mi równowagę po zawrotnej podróży w nieskończoności. Miasto żyje w niezgodzie z przyrodą. Dopiero kiedy się przejdzie dwadzieścia wiorst wertepów polnych i leśnych podczas zadymki w ostrym wichrze śnieżnym, z lodowym soplem na nosie, życie uśmiecha się do wędrowca pogodnie w tylu zasłonach Maji, ilu potrzeba dla utrzymania harmonji pomiędzy myślą ludzką a boginią.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

WĘGRY ODWRACAJĄ SIĘ TYŁEM

GRAF Bethlen, jak wiadomo, po pobycie w Ankarze (dawniej pisało się normalnie w Angorze, skąd są koty, które teraz też trzeba będzie nazywać chyba: ankarskiemi), otóż po trzechdniowym pobycie w stolicy Turcji, gdzie wraz z Venizolosem asystował przy tamtejszem święcie narodowem, powrócił do Budapesztu. Z Turcją zawarły tak Węgry jak i Grecja jakieś poważne układy w celach oczywiście dalszego ugruntowania na Wschodzie „spokoju i pokoju". Możnaby ze spokojem zapomnieć o tych dyplomatycznych grzecznościach.

Atoli w tej schadzce w Ankarze i pobycie tam grafa Bethlena są też pewne „*impoderabilia*", które nas także powinny nieco dłużej zainteresować.

Mało komu wiadomo w zaspanym „Pałacu Brühlowskim", że ostatnio Turcja dzisiejsza serdecznie sprzyjaźniła się z Sowietami. Komisarz spraw zagranicznych p. Litwinow gościł niedawno w Ankarze, a w Moskwie bawili znów kolejno Ruszdi-Bej, minister spraw zagranicznych i Tewfik-basza, minister spraw wojskowych. Układy też różne i różnorakie tam pozawierano, a komisarz Woroszyłow pił zdrowie „sprzymierzonej armji" tureckiej; na manewrach sowieckich asystują stale liczni wojskowi tureccy i *vice-versa*; od dwóch lat jest „sztama" co się zowie.

Ale i nie stosunek Węgrów do Sowietów jest rzeczą ważną, tylko ich stosunek do Niemiec. Niemcom i niemieckim tendencjom odwetowym zdawna już Budapeszt też całkiem otwarcie idzie na rękę. Obserwowało się to oddawna i sygnalizowało w prasie narodowej raz po raz, ale wreszcie teraz pora już i do uderzenia na alarm. Pewne grupy i grupiny u nas od dość dawna stale i z uporem entuzjazmowały się dla narodu „bratanków". Nie można mieć stanowczo nic do zastrzeżenia przeciw gestom, wyrazom i demonstracjom sympatji dla narodu, który tak srodze i boleśnie odpokutował za mocny współudział w sprowokowaniu wojny europejskiej (Tisza) Z 63 komitatów zostało Węgrom tylko 25, a z 22 miljonów ludności tylko osiem. Tak, to był istotnie rozbiór, *demembrement*. Nie można teraz nie żywić podziwu i szacunku dla ich odporności, żywotności, aktywności i rozpędu w propagowaniu na całym globie informacyj o węgierskiej niedoli politycznej. Jeżeli więc dzisiaj cały naród węgierski z jednolitą solidarnością dąży do rewizji traktatu w Trianon, jest w swojem prawie i w porządku. Inna rzecz, że i dzisiaj bezwzględne i ciężkie rządy feodalnej oligarchji na Węgrzech, tępiące najbardziej pruskiemi metodami wszelką, nawet umiarkowaną opozycję, cokolwiek muszą pomniejszać współczucie dla narodu, którego tak ciężko doświadczyły dzieje, a który pomimo tego mało się zmienił w swej psychice „*Herrenvolku*", i tkwi nadal w mentalności, jeżeli nie rokokowo-absolutystycznej, to w każdym razie staroaustrjackiej. Stąd też i w Polsce Węgry dzisiejsze zyskały sobie sympatję i afekty sfer zwłaszcza skrajnie konserwatywnych, głównie zachodnio-małopolskich i północno-kresowych, wyrazem czego jest chroniczna *madziaronitis* „Czasu" (Tarnowscy-Esterhazy), „Słowa" (Sapiehy-Platery), a ostatnio i „Dnia Polskiego", w którym p. A. Romer kult dla honwedów, tokaju, czardasza i arystokracji węgierskiej, zresztą bardzo wytwornej, sympatycznej i europejskiej, doprowadził do tego, że na własną rękę odbierał Ruś Podkarpacką Czechosłowacji i instalował wspólną granicę z Węgrami. Sekundowały w tej polityce ekstratur, panów z *beau monde*'u dość zabawnie jakieś klubiki polsko-węgierskie, zabłąkany w politykę malarz Ruszczyc, kilku docentów wileńskich, kilku bezrobotnych latyfundystów z ziemi wileńskiej, kilku *gigolo* z M. S. Z-etu, no i „słowianofil" prof. M. Zdziechowski. Dłuższy czas były to tylko *liaisons*, nawet nie *dangereuses*. Jak radykały warszawskie miały swą Gruzję, tak *high-life* miał kraje korony św. Szczepana. Dopiero w ostatnich dwóch latach ten flirt z Budapesztem zaczynał przybierać nieco poważniejszego zabarwienia, odkąd otoczyły go protekcją pewne czynniki, poczuwające się jakgdyby do pewnej solidarności kombatanckiej (*Waffenbruderschaft*) jeszcze z czasów wojny, a zrażone do Czechosłowacji pewnemi istotnie niemiłemi epizodami z listopada r. 1918 i z sierpnia r. 1920. Zażarcie pracowało dla tej propagandy sentymentalno-albumowej pewne brukowe pisemko, popularne w sferach okupantów a geszefciarsko zależne i od Widnia i od Pesztu. Mają Węgrzy swojego lorda protektora prasowego w Londynie, mają i swego Rothermera nadwiślańskiego, nienawidzącego oszczędnej i liczącej się z każdem grosiwem Pragi.

Niestety, teraz w przyspieszonem tempie wychodzi szydło z worka wzajemnych komplementów i duserów, a maski szybko spadają. Na bankietach i w toastach mówi się dla

Polski rzeczy piękne do słuchu; ten i ów uczony peszteński wychwala powstania polskie, na zjazd legjonistów w Radomiu wysyła się delegacje; tam przybija się jakieś tablice pamiątkowe, gdzieindziej znowu otwiera się polski kościół... Równocześnie atoli wszędzie, gdzie chodzi o sprawy wy serjo, o interesy państwa polskiego, tam węgierski rząd i dyplomacja całkiem jasno, jawnie i demonstracyjnie stają przy boku Niemiec z „wiernością Nibelungów".

Tu wcale nie chodzi o takie drobiazgi, jak wysyłanie wspaniałej delegacji wojskowej na 80-lecie Mackensena i mowy generałów węgierskich, zaprzysięgających tam dozgonną przyjaźń. Ani o artykuły b. ministrów Graetrów czy Hegeduesów. Tu chodzi o rzeczy serjo, o trzy rzeczy serjo, t. j. o stałą współakcję genewskich delegatów węgierskich przy postulacie niemieckim t. zw. ogólnego rozbrojenia (Berzewicsy, Apponyi), o sprawę podpierania przez Węgry niemieckich intryg z mniejszościami wiarołomnemi, no a wreszcie o sprawę t. zw. korytarza. Co nam dziś z tego przyjdzie, że Węgry apoteozują powstanie w r. 1831, akcentują hałaśliwie, że św. Emeryk ożeniony był z Polką, komplementami obsypują legjonistów lub Stańczyków krakowskich, skoro po wystąpieniu Treviranusa cała prasa węgierska go entuzjastycznie obdarzyła oklaskami. Co nam z tego, że pismo popularne *„Nemzeti Ujzag“* nakadziło nam za rok 1920 i zwycięstwo nad bolszewikami, skoro to samo pismo tak frenetycznie odniosło się do bezczelnych postulatów Treviranusa, że nawet sanacyjny „Kurjer Poranny" musiał to napiętnować.

To że w restauracjach budapeszteńskich stawiają Polakom na stołach chorągiewki biało-czerwone (relacja „Polski Zbrojnej"), albo, że cygańskie kapele nauczono grać wieniec polskich to jest szczegół wzruszający... alkoholików... ale nie jest rzeczą wzruszającą trzeźwych obserwatów, że drugie najpopularniejsze pismo t. j. *„Magyar Hirlap“* po Treviranusie pisało:

„Istnienie polskiego korytarza jest największą nieprawością polityczną, jaka kiedykolwiek dotknęła Niemcy... Jest największą nieprawością ostatnich stuleci. Od Niemiec odcięto Prusy Wschodnie, niemieckie miasto Gdańsk wyłączono ze wspólnoty niemieckiej, Polska zaś dostała czysto niemiecki skraj ziemi, i drogę wolną ku morzu, aby mogła ukoić swój sen o potędze i zacząć zbrojenia morskie".

Ostatnio atoli mamy już do przygwożdżenia i napiętnowania skandal wręcz potworny, odwodzący perfidji i obłędu filogermańskiego granicznego z czysto patologją.

Bawił w Gdańsku na zjeździe Przyjaciół L. N., b. prezes honorowy Towarzystwa polsko-węgierskiego i prezes parlamentarnej komisji dla spraw zagranicznych p. Juljusz Pekar, swego czasu adorowany i reprodukowany w ilustrowanych Kurjerkach i Expressach. Fraternizował tylko z niemieckimi nacjonalistami i odwetowcami. Po powrocie do stolicy zamieścił w trzecim najpopularniejszym organie, w *„Pesti-Hirlap“* długi artykuł, który stanowi przebój, rekord w tem wszystkiem, co dotychczas z racji „korytarza" napisali... Niemcy. B. prezes Towarzystwa polsko-węgierskiego identyfikuje krzywdę Węgier z „krzywdą" wyrządzoną Gdańskowi, zdradziecko „wydanemu w ręce Warszawy", „ongiś kwitnącemu, a dziś zamierającemu powoli". Wedle p. Pekara Gdańsk ostatkiem wysiłków pragnie wrócić do Rzeszy. Polacy wybudowali amerykańską Gdynię za 300 miljonów złotych francuskich. Niesprawiedliwość to najwyższa i taka właśnie, jaka się stała Węgrom.

Ten artykuł prezesa Stowarzyszenia polsko-węgierskiego przedrukowała z zapałem i prasa gdańska i niemiecka z Rzeszy, a nie znalazł się nikt, któryby b. prezesowi Towarzystwa „Polsko-Węgierskiego" zareplikował. I taki sam w tej sprawie pryncypalnej jest kamerton całej prasy dyktatora Horthyego. I dlatego cała też prasa niemiecka proteguje rewizję Trianon, w pierwszym rzędzie organy Hugenberga i Hitlera.

Nie wierzymy w to, co suggerują w Budapeszcie, że istnieje jakiś polsko węgierski traktat tajny i jakaś ściślejsza współpraca. W każdym jednak razie ekscentryczni *charmeur*'zy z naszych Torysoskich ale biedaczych *„Daily-Mail*'ów powinni nieco swe sentymenty pohamować.

Przestańcież dziecka, bo się źle bawicie! My nie mamy żadnego w tem interesu, żeby Węgrom pomagać w odebraniu z powrotem 38 komitatów. Oni o tem dobrze wiedzą i dlatego idą ręka w rękę z Niemcami.

Powstrzymać się tego nie da ani bankietami ani toastami. Flirtować kulturalnie można, ale z temi randkami raz już trzeba skończyć... Węgry odwróciły się do nas już całym tyłem... Niema racji biegać czy dreptać za niemi aż do... Ankary...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Przemawiając przeciwko nagłości wniosku Klubu Narodowego w sprawie brzeskiej, poseł pułkownik Koc zakończył patetycznie: „Gdy zaś poseł z Klubu Narodowego pozwolił sobie kwestjonować cześć munduru wojska polskiego i godność narodu wobec świata, fakt ten musimy napiętnować jaknajostrzej".

Zachodzi pytanie: 1) czy p. poseł Koc uważa, iż fakty, przytoczone we wniosku Stronnictwa Narodowego jak również w interpelacji strennictw centrowych i lewicowych, nie odpowiadają prawdzie, a wówczas czemu głosował przeciwko nagłości wniosku o ich zbadanie, co chyba dbałość o „cześć munduru wojska polskiego i godność narodu wobec świata" nakazywałyby mu uczynić jaknajskwapliwiej, czy też, przeciwnie, 2) sądzi, że fakty wymienione zgodne są z pojęciami honoru wojskowego oraz godności narodowej, i że stwierdzenie ich nikomu żadnej ujmy nie przynosi?

Trzeba jasno, wyraźnie postawić sprawę. Fałszowany patos nie zda się na nic...

*

Opowiadają, iż Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem dlatego tylko głosował przeciwko nagłości wniosku Klubu Narodowego w kwestji Brześcia, ponieważ uważał, iż p. minister sprawiedliwości Michałowski powinien mieć zostawiony... czas dostateczny na dokładniejsze przeprowadzenie badań tudzież na skrupulatniejsze zapoznanie się z tą trudną i zawiłą sprawą...

*

Sanacyjny „Przełom" pisze (nr. 49): „Odniesione przez nasz obóz zwycięstwo było przedewszystkiem wynikiem samorzutnego, chwilami żywiołowego opowiedzenia się szerokich rzesz społecznych za Piłsudskim... Zwycięstwo to jednak było również wynikiem dostosowanego do umysłowości mas polskich nacisku politycznego i metod silnej ręki, krórych najjaskrawszym wyrazem był „Brześć": Metody te zostały zaaprobowane przez społeczeństwo — nietylko biernie i milcząco przez brak jakiegokolwiek odruchu w obronie uwięzionych, przez brak nawet jakiegokolwiek protestu (?) ze strony mas... Brześć okazał się znakomitą drogą porozumienia między Piłsudskim a masami".

Więc jakto: ogłoszono, że aresztowania zarządził sąd, mający po temu podstawy prawne, i jednocześnie mógł ktoś oczekiwać „odruchu w obronie uwięzionych"! Co też „Przełom" opowiada! Teraz nam wyjawia, że to był tylko sposób „porozumiewania się z masami". Przecieramy oczy i dalej czytamy, że „radosna była wprost popularność, jaką w środowiskach ludowych, proletarjackich cieszył się naogół Brześć". Jeszcze dalej: „Wysuwany jest przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu zarzut, że dostosował wybór środków oddziaływania do mentalności mas, urobionej w latach niewoli, że grał na mało szlachetnych instynktach tłumu, korzącego się na skutek swego nizkiego poziomu obywatelskiego przed brutalnemi metodami t. zw. silnej ręki, ale" i t. d.

Jest coś bardzo niezdrowego w chełpliwości z powodu Brześcia.

*

Podobno... mistrz beletrystyki „sanacyjnej", autor znanej książki „Piłsudczycy", p. Juljusz Kaden-Bandrowski opracowuje obecnie nową serję portretów biograficznych, pod ogólnym tytułem „Biernacczycy", zawierającą życiorysy najwybitniejszych posłów z klubu B. B., którzy dn. 16 b. m., na posiedzeniu sejmowem głosowali — w myśl oświadczenia pos. Koca — przeciwko nagłości wniosku Klubu Narodowego, domagającego się rozpatrzenia sprawy brzeskiej. Skądinąd jednak utrzymuje się pogłoska, iż nowe dzieło popularnego pisarza nosić będzie poprostu tytuł: „Piłsudczyków — część druga"...

TREŚĆ: O etyce w polityce *T. Gluzińskiego.* — Dwoistość Niemiec *F. Konecznego.* — Huterski *W. Miłaszewskiej.* — Kolęda Wergiljuszowa (przekład *J. Birkenmajera*). — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Nauka i literatura („Szkoła ambasadorów" *A. Wysockiegoe* i t. d.). — Dyskusja (O wymawianiu w języku polskim) *F. Machalskiego.* — Sztuki plastyczne *St. Pieńkowskiego.* — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego.* — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 619-57. Zielna 47. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.